

317 Biblioteka Miejska
Łódź, Andrzejka 14

szkaki 9

W NUMERZE

L. SOBIERAJSKI — O nową recepcję „Chłopów” Reymonta

Wł. STRZEMIŃSKI — Człowiek i maszyna w malarstwie

T. ORLEWICZ — Zwycięska próba gospodarki ZSRR

J. GRABOWICZ — O czułość klasową

Wł. WOJCIK — Szczury w popłochu

P. Chmura — Komitety członkowskie

A. KOPEĆ — Przewodnictwo w rolnictwie

tygodnik społeczno-literacki

Rok VI

Warszawa, dn. 30 października 1949 r.

Nr 44 (223)

M. KAMMARI

NARODY BURŻUAZYJNE A SOCJALISTYCZNE*)

Zagadnienie narodowe jest jednym z najważniejszych zagadnień socjalistycznej rewolucji i dyktatury proletariatu. Teoria marksizmu-leninizmu w odniesieniu do zagadnienia narodowego jest zawarta w pracach Lenina i Stalina; tworząca siła i żywotność tej teorii zostały wypróbowane w budownictwie socjalizmu i komunizmu w ZSRR, w krajach demokracji ludowej, w ruchu narodowo-wyzwoleńczym i w całym przebiegu historii.

Bezcennym wkładem do teorii marksistowskiej w kwestii narodowej jest dzieło tow. Stalina „Zagadnienie narodowe a leninizm” napisane w 1929 r. i po raz pierwszy opublikowane w jedenastym tomie. To dzieło J. W. Stalina zostało napisane w roku wielkiego przełomu, kiedy to narody ZSRR pod kierownictwem partii Lenina-Stalina wstąpiły w okres bezpośredniego i rozwinętego budownictwa socjalizmu na całym froncie.

*

Na początku swojej pracy „Zagadnienie narodowe a leninizm” tow. Stalin wskazuje, że rosyjscy marksisci od dawna już posiadają swoją teorię narodu. „Naród — według niej — jest historycznie uformowaną, trwałą zbiorowością ludzi, która powstała na gruncie wspólnoty czterech zasadniczych cech, a mianowicie: na gruncie wspólnoty języka, wspólnoty terytorium, wspólnoty życia ekonomicznego i wspólnoty wkładu psychicznego, który przejawia się we wspólnocie specyficznych właściwości kultury narodowej” (Dzieła, tom 11, str. 333).

Niektórzy Niemcy — pseudo-marksisci podejmowali próbę „uzupełnienia” definicji narodu taką cechą, jak posiadanie własnego, osobnego państwa narodowego. W dziele „Zagadnienie narodowe a leninizm” tow. Stalin demaskuje całą błędność rozumowania, bezpodstawność i nienaukowość takiego „uzupełnienia” definicji narodu pod względem teoretycznym i politycznym. „Uzupełnienie” to znajduje podstawę w schemacie, zgodnie z którym za narody uznano by „tylko takie narody, które posiadają swoje własne odrębne państwo, wszystkie zaś narody uciśnione, pozbawione samodzielnej państwowości, należałyby wykreślić z szeregu narodów, a walkę gniebionych narodów przeciw uciśkowi narodowemu, walkę narodów kolonialnych z imperializmem należałoby wykreślić z pojęcia „ruch narodowy”, „ruch narodowo-wyzwoleńczy” (Dzieła, tom 11, str. 334). Na zasadzie tego schematu narody przestają być narodami, po tymczasowej nawet utracie swojej niezależności i samodzielności państwowej. Tow. Stalin wykazał, że schemat ten jest nienaukowy, teoretycznie doprowadza do absurdu, a praktycznie — do uzasadnienia imperialistycznego, narodowo-kolonialnego uciśku, gdyż właśnie imperialiści, nosiciele tego uciśku, „nie uznają narodów ciemionych i pozbawionych praw, nie posiadających osobnych państw narodowych i uważają, że to daje im prawo do uciśku tych narodów” (j. w., str. 335).

Tow. Stalin rozpoczyna uzasadnienie tezy o narodach burżuazyjnych i narodach socjalistycznych, od zagadnienia powstania i rozwoju narodów. Obalając antymarksistowskie teorie o powstaniu i rozwoju narodów jeszcze przed okresem kapitalizmu, tow. Stalin udawadnia, że narody nie mogły powstać i istnieć w okresie przedkapitalistycznym, w epoce feudalizmu, kiedy państwa były rozczłonkowane na osobne, samodzielne księstwa, nie tylko nie związane więzami narodowymi, ale zdecydowanie przeciwstawiające się konieczności istnienia takich więzów. W okresie przedkapitalistycznego rozwoju nie było i nie mogło być narodów, ponieważ nie było jeszcze rynków narodowych, narodowych centrów ekonomicznych i kulturalnych, t. zn. tych przesłanek, które likwidują rozdrobnienie gospodarcze danego narodu i łączą rozdzielone uprzednio części danego narodu w narodową całość.

„Oczywiście, twierdzi tow. Stalin — elementy narodu, jak język, terytorium, wspólnota kulturalna itd. nie spadły z nieba, a tworzyły się powoli jeszcze w okresie przedkapitalistycznym. Ale elementy te znajdowały się w stanie początkowym i w najlepszym razie stanowiły tylko w przyszłości przydatne warunki sprzyjające warunkom. Siła potencjalna przeobraziła się w rzeczywistą dopiero w okresie wstępującego kapitalizmu z jego rynkiem narodowym, z jego ośrodkami ekonomicznymi i kulturalnymi” (Dzieła, t. 11, str. 336).

W ten sposób t. zw. „współczesne narody” kształtowały się w prze-

biegu kapitalizmu, rozwoju wymiany, obrotu towarowego, zlania się wielkich miejscowych rynków w jeden narodowy rynek.

„Burżuazja i jej nacjonalistyczne partie były w tym okresie główną siłą kierowniczą takich narodów. Pokój klasowy wewnątrz narodu dla zachowania „jedności narodu”, rozszerzenie terytorium swego narodu drogą zdobycia cudzych terytoriów narodowych, brak zaufania i nienawiści do obcych narodów, ciemnienie mniejszości narodowych, jednolity front z imperializmem — oto ideologiczny i społeczno-polityczny bagaż takich narodów.

Takie narody należy zakwalifikować do rzędu narodów burżuazyjnych” (J. Stalin, Dzieła, t. 11, str. 338).

Los takich narodów, stwierdza tow. Stalin, związany jest z losem kapitalizmu; wraz z upadkiem kapitalizmu takie narody winny zejść ze sceny historii.

Podkreślając w swojej pracy „Marksizm a kwestia narodowa” (1913 rok), że „narod nie jest po prostu kategorią historyczną, ale kategorią historyczną określonej epoki, epoki rozwijającego się kapitalizmu, że losy ruchu narodowego w istocie swojej burżuazyjnego, związane są nierozdzielnie z losem burżuazji”, że „ostateczny upadek ruchu narodowego możliwy jest tylko wraz z upadkiem burżuazji” (Dzieła, t. 2, str. 303, 311, 312), tow. Stalin miał na myśli właśnie takie burżuazyjne narody. Właśnie takie narody miał też na myśli W. I. Lenin, pisząc w 1914 roku: „Narody są nieuniknionym wytworem i nieuchronną formą burżuazyjnej epoki rozwoju społecznego” (Dzieła, t. 21, str. 56).

Wielka socjalistyczna Rewolucja Październikowa otworzyła nową erę w historii ludzkości, nową erę w historii narodów, stosunków narodo-

wych i międzynarodowych. Zapoczątkowała ona kształtowanie się nowych narodów.

„Nowe radzieckie narody, rozwijają się i kształtują na bazie starych burżuazyjnych narodów po obaleniu ustroju kapitalistycznego w Rosji, po likwidacji burżuazji i jej partii nacjonalistycznych, po utrwaleniu ustroju radzieckiego” (J. Stalin, Dzieła, t. 11, str. 339). Charakterystyczne oblicze tych nowych socjalistycznych narodów, tow. Stalin wskazuje:

„Klasa robotnicza i jej międzynarodowa partia stanowią siłę, która wzmacnia te nowe narody — kieruje nimi. Duchowe i socjalno-polityczne oblicze tych narodów charakteryzuje się przez sojusz klasy robotniczej i pracującego chłopstwa wewnątrz narodu, w celu likwidacji resztek kapitalizmu w imię zwycięskiego budownictwa socjalizmu; przez zniszczenie pozostałości uciśku narodowego w imię równouprawnień i swobodnego rozwoju narodów i mniejszości narodowych; przez zniszczenie resztek nacjonalizmu w imię ustanowienia przyjaźni między narodami i zasad międzynarodowości; przez jednolity front ze wszystkimi uciśkanymi narodami w walce z zabórczą polityką i wojnami zabórczymi, w walce z imperializmem.

Takie narody należy zakwalifikować do rzędu narodów socjalistycznych”.

Rozbijając do szczytów metafizykę, scholastykę, burżuazyjny nacjonalizm, którzy nie chcieli widzieć i uznawać innych narodów oprócz narodów burżuazyjnych, tow. Stalin stwierdza, że „przeoczyli oni całą epokę kształtowania się socjalistycznych narodów w Związku Radzieckim, które powstały na gruzach starych burżuazyjnych narodów” (Dzieła, t. 11, str. 340).

Te nowe radzieckie, socjalistyczne narody powstały i rozwinęły się

w wyniku likwidacji kapitalizmu, drogą gruntownego przekształcenia starych, burżuazyjnych narodów w duchu socjalizmu. Towarzysz Stalin podkreśla, że nowe, radzieckie narody różnią się zasadniczo od starych, burżuazyjnych narodów w dawnej Rosji, zarówno pod względem składu klasowego i oblicza duchowego, jak i pod względem interesów i dążeń społeczno-politycznych. Dalej towarzysze Stalin podkreśla, że narody radzieckie są o wiele bardziej zespolone niż jakikolwiek naród burżuazyjny, gdyż są wolne od nieprzejdnych przeciwieństw klasowych, które przeżerają narody burżuazyjne i są o wiele bardziej ogólnonarodowymi, niż jakikolwiek naród burżuazyjny. Takich narodów jeszcze nie znała historia ludzkości.

W swoim referacie „O projekcie Konstytucji ZSRR”, rozwijając powyższe tezy, towarzysze Stalin wykazał, że w rezultacie socjalistycznego przekształcenia gospodarki naszego kraju, zupełnego zwycięstwa systemu socjalistycznego we wszystkich dziedzinach gospodarki narodowej, likwidacji klas wyzyskujących i gruntownej przemiany klasy robotniczej, chłopstwa i inteligencji, zmieniło się całe społeczne i duchowe oblicze narodów ZSRR.

W 1924 roku, kiedy uchwalono pierwszą Konstytucję ZSRR, stwierdza towarzysze Stalin, stosunki narodowe ludów ZSRR nie były jeszcze ułożone w sposób odpowiedni, przeżytki nieufności do Wielkorusów jeszcze nie zanikły, centralistyczne siły w dalszym ciągu działały. Należało w tych warunkach wprowadzić bratnią współpracę narodów na bazie ekonomicznej, politycznej i wzajemnej pomocy wojskowej, łącząc te narody w jedno związkowe, „narodowe państwo” („Zagadnienie leninizmu”, str. 513, wyd. 11).

Próba ukształtowania mocnego wielonarodowego państwa na bazie



socjalizmu udało się w zupełności. Jest to wielki triumf leninowsko-stalinowskiej polityki narodowej, która zwyciężyła dlatego, że wychodziła z założeń rozwoju społecznego, z zasad rozwoju radzieckiej, socjalistycznej ekonomiki. Socjalistyczna własność, jako podstawa ustroju radzieckiego nie dzieli, a łączy narody radzieckie.

Polityka partii bolszewickiej opiera się na poznaniu nowych praw rozwojowych społeczeństwa radzieckiego, powstałych po zwycięstwie rewolucji socjalistycznej, oraz na wykorzystaniu wszystkich możliwości ukrytych w łonie ustroju radzieckiego.

W referacie „O projekcie Konstytucji ZSRR” tow. Stalin mówił:

„Brak klasy wyzyskiwaczy, która jest głównym organizatorem konfliktów międzynarodowych; brak wyzysku, który kulturywje wzajemną nieufność i rozpala nacjonalistyczne namietności; posiadanie władzy

przez klasę robotniczą, która jest wrogiem wszelkiego niewolnictwa i wiernym głosem idei międzynarodowości; faktyczne zrealizowanie pomocy wzajemnej narodów we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego i społecznego; w końcu rozkwit kultury narodowej ludów ZSRR, narodowej w formie, socjalistycznej w treści — oto jakie i podobne im przesłanki doprowadziły do tego, że w sposób zasadniczy zmieniło się oblicze narodów ZSRR, zanikło w nich uczucie wzajemnej nieufności, rozwinęło się uczucie wzajemnej przyjaźni i w ten sposób została urzeczywistniona prawdziwa bratnia współpraca narodów — w systemie jednego państwa związkowego.

Narody socjalistyczne gruntownie różnią się od narodów powstałych na bazie kapitalizmu. Narody powstałe i rozwijające się na bazie kapitalizmu, na zasadzie burżuazyjnych porządków społecznych, pod kierownictwem i władzą burżuazji, pod sztandarem burżuazyjnego nacjonalizmu są rozbite na antagonistyczne klasy, na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Klasowy antagonizm i władza burżuazji warunkują antagonistyczne formy rozwoju narodów burżuazyjnych, i ich kultur narodowych, nakładają swoje piętno na psychicznym obliczu narodu, rodzając skrytość narodową, nieufność i wrogość do innych narodów. Narody burżuazyjne nie mogą być społecznie jednolite, nie mogą posiadać jednolitej świadomości narodowej, jednolitej kultury narodowej. Wszystkie klasy narodu burżuazyjnego posiadają swoją własną świadomość klasową, swoją własną kulturę klasową pod względem treści i charakteru. Leninizm uczy, że w warunkach kapitalizmu w każdym narodzie są dwa narody, w każdej kulturze narodowej, dwie kultury: panująca „kultura” obszarników, kapitalistów, reakcyjnych klas wyzyskiwaczy i elementy prześladowanej, tłumionej, demokratycznej i socjalistycznej kultury mas pracujących, wyzyskiwanych, stanowiących większość narodu.

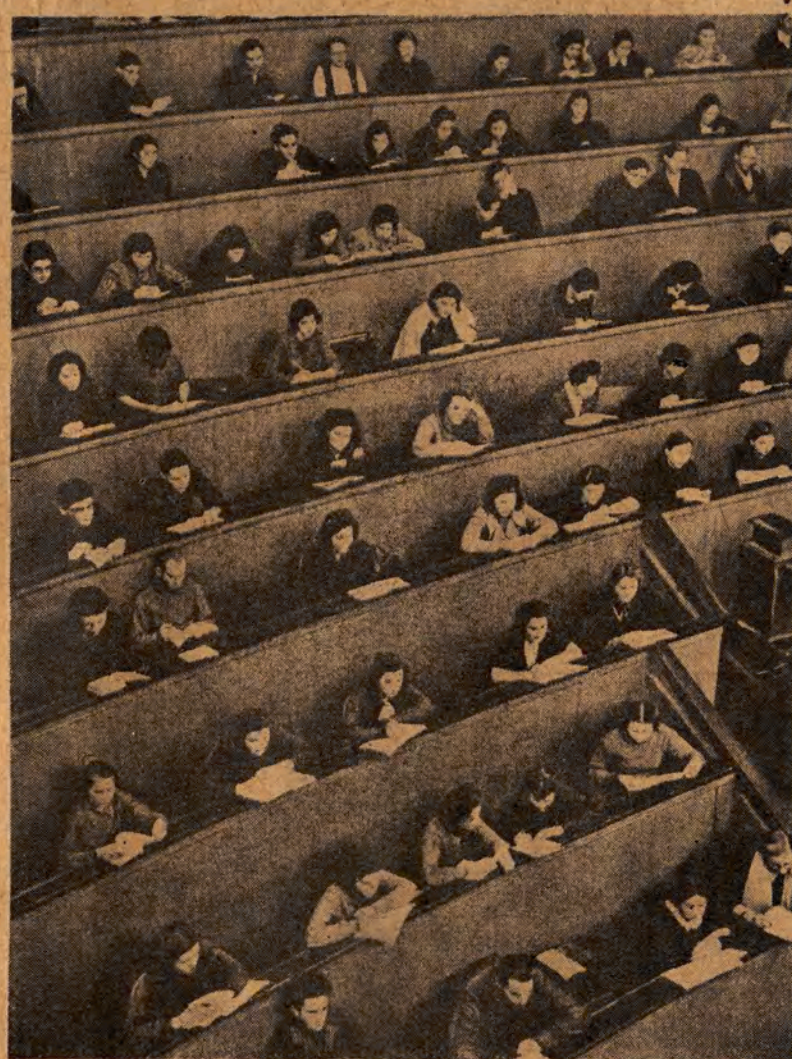
Radzieckie, socjalistyczne narody konsolidują się, kształtują i rozwijają na bazie radzieckiego, socjalistycznego ustroju, na bazie dyktatury proletariatu, pod kierownictwem klasy robotniczej i jej partii, pod sztandarem międzynarodowego proletariackiego.

Po zwycięstwie socjalizmu i likwidacji klas wyzyskiwaczy radzieckie narody socjalistyczne są wolne od antagonizmu klasowego. Radzieckie, socjalistyczne narody składają się z klasy robotniczej, chłopstwa i radzieckiej inteligencji — przyjaźni dla siebie, wspólnie budujących bezklasowe komunistyczne społeczeństwo. Są to narody wzmacnione jednością moralną i polityczną, narody z jednym wspólnym celem, jedną wolą, wspólnymi interesami, z jednolitością w swoich założeniach świadomością socjalistyczną, narody budujące kulturę narodową w formie i socjalistyczną w treści.

Wraz z olbrzymimi przemianami społecznymi, zrealizowanymi w wyniku socjalistycznej rewolucji zasadniczo zmieniło się całe moralno-polityczne oblicze narodów ZSRR, ich oblicze psychiczne, ich charakter narodowy.

W ZSRR, po raz pierwszy w historii społeczeństwa, stworzono prawdziwą jedność i rzeczywistość wspólnoty interesów wewnątrz wszystkich narodów w jednolitym związku, wielonarodowym państwie socjalistycznym.

*) Stalin o Narodach Burżuazyjnych i Socjalistycznych — Bolszewik, Nr 16, 1949 (fragment).

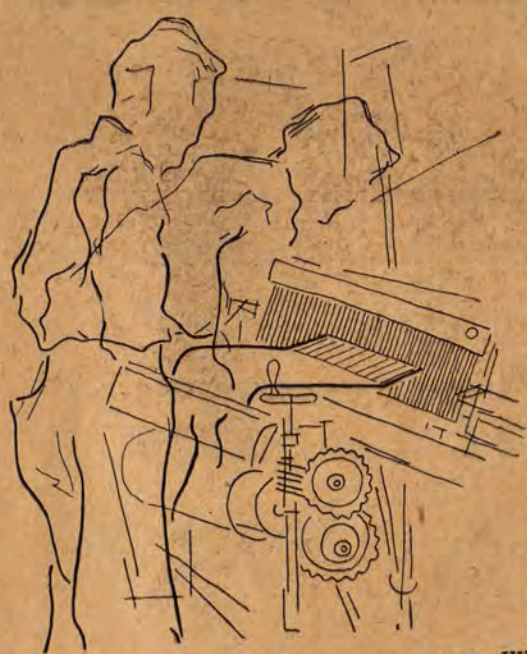


Wiedza w ZSRR służy dla dobra całego kraju jak długi i szeroki

WŁADYSŁAW STRZEMIŃSKI

CZŁOWIEK I MASZYNA W MALARSTWIE

(Artykuł dyskusyjny)



rys. Wł. Strzeziński

Nie podzielać w całości stanowiska autora, zamieszczamy jednak poniższy artykuł, ze względu na ciekawe problemy w nim poruszone.

REDAKCJA

Kiedy przystąpiłem do wykonania rysunków na temat współzawodnictwa pracy, przekonałem się, jak zawiązały wszystkie dotychczasowe nawyki. Nie można było się oprzeć na żadnym z dotychczasowych wzorów. Nowa tematyka zmuszała do wynalezienia nowych rozwiązań, wyrażających nową treść.

1) Można było, naturalnie, postąpić najprościej — narysować portrety przodowników pracy z dużymi, jakby wszystkie dotychczasowe nawyki. Nie można było się oprzeć na żadnym z dotychczasowych wzorów. Nowa tematyka zmuszała do wynalezienia nowych rozwiązań, wyrażających nową treść.

Gdybym tak postąpił: a) odszedłbym od realizmu, nie kształtując rzeczywiste proporcje natury;

b) wyraziłbym treść reakcyjną dowodzącą, że przodownik pracy jest bezrozumny robotem, pracującym dobrze fizycznie dlatego, że ma za mały mózg.

(Charakterystyczne, że w podobny sposób (duży podbródek prawie na pół twarzy oraz małe czoło i nos) przedstawiali hitlerowcy swoich żołnierzy na plakatach wojennych. Wiadomo — faszyzm uniósł w człowieku wszystkie jego czynniki wyższego rzędu).

c) podkreślił fizyczny moment pracy (duże ręce) byłbym nie w zgodzie z podstawową tendencją rozwojową obecnych czasów, w myśl której współzawodnictwo pracy zaciera różnicę pomiędzy pracą fizyczną a pracą umysłową.

2) Mógłbym narysować człowieka przy maszynie. Wybrałbym najbardziej charakterystyczną pozę robotnika i umieściłbym go obok maszyny.

Wówczas robotnik stałby w najcharakterystyczniejszej pozie — obok tak samo stojącej maszyny. Stoi robotnik i stoi maszyna, a każde sobie swoją rzepkę skrobie. Co się pomiędzy nimi dzieje — nie wiadomo. Stoją w największej obojętności względem siebie. Byłoby to najbardziej bierno, oderwane, metafizyczne przedstawienie przedmiotów — zamiast przedstawienia związków i dialektycznej współzależności pomiędzy nimi. Zamiast przedstawienia natury, ujętej od czynnej strony poznania — w jej działaniu — przedstawienie odosobnionych, oderwanych, statycznych przedmiotów. Robotnik i maszyna. W tym ujęciu nie ma miejsca na to, co łączy: na stosunek pomiędzy przedmiotami, na działanie, na to, co jest pomiędzy przedmiotami, na ich dialektyczną współzależność. Nie ma ani entuzjazu zwycięskiej, wolnej pracy, ani współzawodnictwa pracy, ani konkretnych warunków historii, w której się to wszystko dzieje.

Przykłady takiego ujęcia obserwowałem najczęściej. Większość malarzy tak właśnie maluje. W żadnym wypadku nie mogą oni być wzorem. Najwyżej — mogą nas pociągnąć swym nieudanym doświadczeniem, jak nie należy podchodzić do tematu pracy.

3) Chcąc „ożywić” pracującego robotnika, mógłbym nadać mu większy wyraz wysiłku. Jego ciało skłębłoby się, wilo w dynamicznym naprężeniu mięśni, pokazując olbrzymią, ponadludzką moc wysiłku. Widziałem takie obrazy, gdzie robotnik, rzucony na tą maszynę skłębł się w jakiejś epileptycznej, w jakiejś mistycznej konwulsji. Szukając wzorów dla takiego przedstawienia człowieka, odnajdziemy je z łatwością w malarstwie kontrreformacyjnego baroku.

Nadbudowa spóźnia się, nie nadąża za przekształceniami podbudowy. Dlatego zrozumieliśmy, że niektórzy malarze, w swoim dążeniu do realizmu socjalistycznego, sięgają po dobrze im znane wzory jezuickiego baroku. Lecz co wyrażają takie obrazy?

a) to, że nie człowiek stworzył maszynę i, w epoce budującego się socjalizmu, zmienił stosunki produkcji, zmuszając maszynę, by służyła bezpośrednio człowiekowi i społeczeństwu — lecz to, że maszyna jest jakimś molochem, wymagającym od robotnika korzenia się i samooddania.

b) Zamiast naukowego światopoglądu materialistycznego, będącego światopoglądem klasy robotniczej — sięga do rudymantów mistyki, konwulsyjnej egzaltacji i samozatrucia, na których opiera wymowę obrazu.

4) Zagadnienie nie jest tak proste. To nie jest jakaś praca „w ogóle” — jakieś abstrakcyjne przedstawienie „Pracy” (z dużej litery) lecz przedstawienie konkretnego, historycznie uwarunkowanego etapu tej pracy.

Chcąc wyrazić potęgę setek koni mechanicznych, znajdujących się w rękach jednego człowieka — rozpedziłbym wszystkie koła, walce i śruby tej maszyny, wprowadziłbym je w największe wirowanie dynamizmu, jakiegoby tylko potrafił. O wzory i sposoby nie jest trudno. Wystarczy przestudiować dzieła futurystów włoskich. Co bym wówczas osiągnął?

Rozpedziłbym maszynę potrafiłbym w ten sposób wyrazić. To niewątpliwie. Lecz jakby wyglądał spokojnie stojący człowiek obok tego huraganu dynamiki? — On byłby malutkim, niepotrzebnym dodatkiem do potężnej i wspaniałej techniki. Polityczna wymowa takiego obrazu byłaby zbyt jasna. Leżałaby ona na linii, wymaganej przez wielki kapitał trustów. Człowiek (robotnik) nie nie znaczy wobec techniki (należącej do prawem własności — do kapitału).

Twórczy wkład robotnika w proces produkcji, pokazanie maszyny, jako narzędzia w rękach pracującego człowieka — byłoby starannie ukryte. W czym interesie — wiadomo.

Jak z powyższego widać, żaden z minionych okresów sztuki nie może wyrazić istoty współczesnego współzawodnictwa pracy. Żaden nie może być wzorem. Natomiast każdy z nich może być wykorzystany, jako doświadczenie, przetworzone dialektycznie.

Obraz produkcji jest meldunkiem z pola walki, jest sprawozdaniem o tym, jak toczy się najbardziej emocjonująca bitwa o produkcję. Bez względu, przy współzawodnictwie nie może być mowy o nierówności i lenistwie. Lecz większy wysiłek fizyczny i pośpiech jeszcze nie dają zwycięstwa. Współzawodnictwo pracy wynika z narastania nowego socjalistycznego pojęcia własności, lecz w dalszych swych skutkach zaciera różnicę pomiędzy pracą fizyczną a pracą umysłową. Ujawnia składniki inicjatywy i wynalazczości, tkwiące w pracy fizycznej, rozbudowuje je, nasyca nimi pracę fizyczną i łączy praktykę z wiedzą teoretyczną. W ten sposób współzawodnictwo pracy obok bezpośrednich wyników ekonomicznych (powiększenie produkcji) staje się narzędziem przebudowy umysłowości w społeczeństwie, które dopiero co wyłania się ze społeczeństwa kapitalistycznego i które pod każdym względem — ekonomicznym, moralnym i umysłowym — nosi jeszcze ciężkie piętno dawnego społeczeństwa, z którego łona powstało. Przez współzawodnictwo pracy zanika przeciwieństwo między pracą umysłową a fizyczną jedno z najważniejszych źródeł współczesnej nierówności społecznej. Praca przestaje być tylko środkiem do życia, a dzięki wszechstronnemu rozwojowi jednostki stanie się elementarną potrzebą.

Otóż pod tym kątem oceny politycznej musimy rozpatrzyć współzależność, jaka zachodzi pomiędzy człowiekiem a maszyną, kryteriami czysto politycznymi, musimy określić przydatność poszczególnych elementów, przekazanych nam przez sztukę minioną.

MASZYNA

Powstanie i rozwój klasy robotniczej staje się możliwy dopiero wówczas gdy produkcja wstępuje w okres kapitalistyczny i maszynowy. Maszyna stoi u początków klasy robotniczej i rozwija się wraz z nią. Dzięki maszynie, kondensującej potęgę dziesiątek i setek koni mechanicznych — praca fizyczna, praca rąk w znaczeniu bezpośrednim — stopniowo zanika i przybiera postać pracy kontrolującej. Zasadniczą robotę wykonuje maszyna. To należy pokazać. Lecz jak pokazać samą maszynę?

Jeśli się oprzeć o tradycję renesansu XV-wiecznego, wówczas będziemy musieli wyrysować z jednokątną dokładnością wszystkie części maszyny. Otrzymamy taki obraz maszyny, w którym się zagubimy, z którego każdy, nie fachowiec danej specjalności nie będzie mógł odczytać, co i jak dana maszyna robi. Zamiast ogólników o „zdrowych” i „wspaniałych” tradycjach Renesansu — czy nie lepiej jest sprawdzić jego polityczną przydatność w każdym konkretnym wypadku?

Szukając wzorów w malarstwie XVII wieku (np. u Rembrandta) będziemy już mogli przeprowadzić pewne zróżnicowanie tych lub innych części maszyny. Malarstwo ówczesne posługiwało się metodą t. zw. kluczów kompozycyjnych. Najważniejsze części obrazu uwydatniało ono, nadając im jak największy kontrast światłocienowy.

Części mniej ważne, mniej rzucały się w oczy, ponieważ ich kontrast światłocienowy był mniejszy i bardziej stonowany. Natomiast części nieistotne były ukryte i zatarłe w cieniu. Uchwycenie tych różnic światłocienowych i jego stopniowanie wymagało bardzo wnikliwego widzenia i było szczytem realiz-

mu XVII wieku. Był to wnikliwy realizm widzenia, zdolny uchwycić każdą grę padającego światła i cienia wydobywającego lub ukrywającego poszczególne kształty.

Lecz co ten realizm może nam powiedzieć o człowieku, stwarzającym wartości produkcji? Co ten realizm powie o wynikach współzawodnictwa pracy i o sposobach przewyższania przeskód.

Realizm XVII wieku da nam malarski, bardzo głęboki i soczysty obraz maszyny, lecz pokaże ją w całej przypadkowości światłocienowej, nie pokaże natomiast jak i co ona produkuje. Rozmieszczy klucze kompozycyjne, miejsca ściągające na siebie największą uwagę i najbardziej widoczne — nie tam gdzie jest określony przebieg produkcji, lecz tam, gdzie jest wyznaczony przypadkowy kaprys światłocienowy. Produkcja czynność maszyny nie zostanie ujawniona. Zamiast pokazać co jest w danym wypadku jedynie istotne — jak przebiega proces produkcji, jaki udział w nim biorą poszczególne części maszyny, jaka jest droga przetwarzania surowca na wyrób gotowy — pokaże nam przypadkową „malarskość” przypadkowej gry światłocienowej na wygiętych kształtach maszyny. Obraz maszyny, jaki otrzymamy — będzie niewątpliwie obrazem zgodnym z realną rzeczywistością, lecz oddającym całą przypadkowość położenia, oświetlenia itp. Będzie to obraz „widziany”. Lecz, aby wyrazić rzeczywistą społeczną rolę maszyn, musimy poznać jej funkcjonowanie, udział w nim jej poszczególnych części, ich stopniowanie i znaczenie. Musimy poznać, maszynę nie w widzeniu, lecz w procesie produkcji. Tak powstaje konflikt pomiędzy realizmem widzenia, przekazany nam przez sztukę klasyczną — a realizmem poznania.

Realizm epoki Rembrandta był niewątpliwie realizmem prawdziwym i głębokim lecz ukształtowany został przez inną, daleką od nas epokę — przez rewolucję holenderską i angielską. Jego przydatność dla wyrażenia politycznych zadań dzisiejszego dnia jest niezbyt duża, a jego metoda kształtowania powinna być dialektycznie przetworzona. Zachowując pozytywną zdobycz nierównomiernego przedstawiania kształtów (klucze kompozycyjne) umieszczamy je nie tam, skąd je wydobywa przypadkowo padające światło, lecz tam, gdzie one charakteryzują przebieg produkcji. Sama obserwacja nie wystarczy. Widzenie nie wyczerpuje zagadnienia. Należy poznać pracę produkcji, poznać pracę i maszynę, poznać tajemnice techniki. Należy realizm widzenia przetworzyć na dialektycznie mu przeciwny — realizm poznania. Dawniej rozmieszczone klucze kompozycyjne, tam gdzie dociera światło — rozmieszczamy obecnie na osi produkcji — tam gdzie surowiec przetwarzany się na wyrób gotowy. W ten sposób uwytkamy produkcyjną funkcję maszyny. Części maszyny nie biorące bezpośredniego udziału w przetwarzaniu surowca i w powstawaniu fabrykatu — usuwamy i zacieramy tak samo, jak to czyniono poprzednio. Dzięki temu powstaje obraz, z którego możemy odczytać to, co dla nas jest najważniejsze: proces produkcji i udział w nim maszyny i jej poszczególnych części.

CZŁOWIEK

Im doskonalsza maszyna w tym większym stopniu wykonuje ona całokształt pracy. Tylko na pograniczu z rzemiosłem znaczna część pracy spada na ręce człowieka. Tylko tam większy wysiłek i pośpiech

wzmaga wydajność pracy. Zasadniczo jednak maszyna wykonuje prawie całą pracę, a człowiek organizuje warunki jej działania i kontroluje przebieg jej produkcji, zapobiegając wszelkim zakłóceniom. Im lepiej on zorganizuje produkcję, im lepiej będzie kontrolował jej przebieg, tym większe osiągnie wyniki we współzawodnictwie.

Czynność człowieka jest ciągła. On jest zawsze i wszędzie obecny. On wpływa na maszynę, sprawdzając i regulując jej każdą część. Nie ma jednej nieruchomej, zastępczej pozycji (idealistycznie i abstrakcyjnie, w oderwaniu od konkretnych czynności — wypośrodkowanej i „najbardziej typowej”). Jest ruch człowieka, jego ciągła czynność i uwaga, jego ciągłe napięcie czujności, praca oczu, umysłu i rąk, związana z całokształtem pracy maszyn.

Tak powstaje dialektyczna dwujędność człowieka i maszyny. Maszyna, której pracę w jednakowych mechanicznych rytmach uwydatniamy, tłumaczymy rozmieszczając klucze kompozycyjne na osiach produkcji — uprzystępniając w ten sposób widzowi zrozumienia funkcję maszyny. I człowiek, którego czynność kontrolującą wyrażamy w rytmach płynnych i opływowych. Tak wyrażamy zależność maszyny od człowieka i zależność człowieka od maszyny. Samo malarstwo w tym wypadku nie wystarczy. Nie wystarczy widzieć i namalować to, co się widzi. Należy wejść w produkcję, poznać funkcjonowanie maszyny i przebieg pracy człowieka.

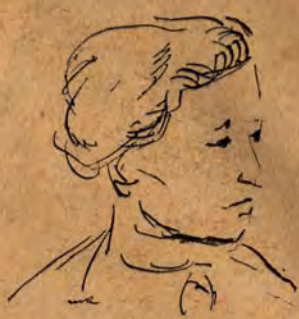
I jeszcze jedno. U klasyków marksizmu czytamy o zaniku granicy pomiędzy pracą fizyczną a umysłową. Lecz nie oznacza to wcale, że praca fizyczna zanika, a cała ludzkość zasiada za skrzypkami biurkami biuralistów. — Oznacza to po prostu tylko tyle, co napisano, t. zn. stopnienie się pracy fizycznej z pracą umysłową w jedną całość. Praca umysłowa nie oderwana od pracy fizycznej, lecz nasycająca ją składnikami świadomości i organizacji. Nie otepienie w przynajmniej, ponad siły pracy fizycznej i nie degeneracja od wyłączenia pracy umysłowej, lecz ich harmonijne stopnienie.

Tylko raz w znanej nam historii, zbliżyła się mała cząstka ludzkości do tego stanu. Było to w okresie rozkwitu Aten, gdy na bazie produkcji rzemieślniczej połączyła się wysoka sprawność techniczna i artyzm pracy umysłowej. Trwało to krótko. Klasowe społeczeństwo Aten uległo dalszej dynamice przekształceń i chwilowo osiągnięta jedność została zburzona.

Wysiłek fizyczny, połączony z wysiłkiem umysłowym, tworzy pełnego, harmonijnego człowieka. Tę perspektywę przyszłego społeczeństwa komunistycznego musimy wskazywać już teraz. Włączyć ją w obraz następstw, już teraz wylinających się z obecnego współzawodnictwa pracy. Jak samo współzawodnictwo, w dalszych swych konsekwencjach prowadzi do zlania się pracy fizycznej z pracą umysłową — ten obraz, wyrażający to współzawodnictwo powinien dawać perspektywę harmonijnego rozwoju ludzkiego — w społeczeństwie bezklasowym. Tę harmonię możemy wyrazić, przetwarzając dialektycznie na podstawie wszystkich poprzednich doświadczeń dzieł sztuki na harmonii i rytmie klasycznej sztuki greckiej. I wówczas dopiero zrozumiemy, dlaczego tak duże znaczenie nadawał jej — Lenin.

W. Strzeziński

LAUREACI konkursu Chopinowskiego



I nagroda

Bella Dawidowicz — (ZSRR)



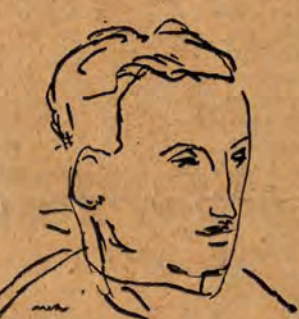
I nagroda

Halina Stefańska — Czerny (Polska)



II nagroda

Hesse Bukowska (Polska)



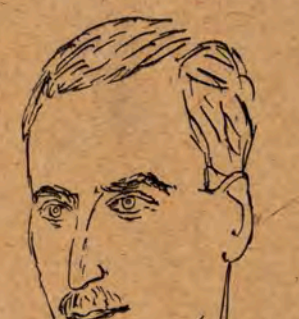
III nagroda

Maciszewski (Polska)



IV nagroda

Jerzy Mierzanow (ZSRR)



V nagroda

Władysław Kędra (Polska)



VI nagroda

Ryszard Bakst (Polska)

Rys. M. Rudnicki

Festiwal Chopinowski

Czwarty Międzynarodowy Konkurs im. Fryderyka Chopina został zakończony. Uroczystości wręczenia nagród laureatom odbyły się dnia 17 października, to jest w dniu stułetniej rocznicy śmierci Chopina.

Obecny konkurs Chopinowski jest, jak wiadomo, czwartym — tego rodzaju konkursem. Pierwszy odbył się w 1927 r. Inicjatorem był prof. Jerzy Żurawlew, który uważał, że w propagowaniu muzyki Chopina powinna być zainteresowana przede wszystkim Polska, a najlepszym środkiem propagowania Jęgo muzyki będą międzynarodowe konkursy.

W konkursie w 1927 r. pierwsze miejsce zdobył Lew Oborin (Z. S. R. R.), drugie i trzecie zajęli Polacy: St. Szpinalski i Róża Etkin. W 1931 r. w II Międzynarodowym Konkursie laureatem został Aleks. Uniński (Francja), drugie miejsce zajął Imre Ungar (Węgry), trzecie Bolesław Kon (Polska). W III-cim Konkursie, który odbył się w 1937 r. zwyciężył Jakub Zak (ZSRR) następnie Róża Tamarkina (ZSRR), trzecie miejsce zajął Polak Witold Małcużyński.

IV Międzynarodowy Konkurs Chopinowski różnił się od poprzednich stroną organizacyjną. Rozgrywki konkursowe dzieliły się na trzy etapy: 1-szy etap to eliminacje krajowe. Odbyły się one w większości krajów biorących udział w konkursie. Kandydaci, którzy we

własnych krajach nie przeszli pierwszych eliminacji musieli stawać do nich w Polsce. Z pośród dziesięciu, którzy przystąpili do tych eliminacji jedynie czworo przeszło do następnego etapu. Wprowadzenie eliminacji krajowych ułatwiło pracę jury, które nie było zmuszone przesłuchiwać pianistów nieraz o b. niskim poziomie, jak to miało niejednokrotnie miejsce w poprzednich konkursach.

Drugim etapem był recital. Do drugiego etapu przystąpiło 40-tu kandydatów reprezentujących trzydzieści krajów. Każdy z nich był zobowiązany zagrać: 2 Mazurki, 2 Etiudy, 1 Nokturn, jeden z trzech wielkich Polonezów (fis-moll, As-dur lub Polonez — Fantazja), jedną z dwóch Sonat, albo Scherzo i Balladę względnie Barcarolę i Fantazję. Tak zestawiony program umożliwił artystyce wykazanie się wszelkimi walorami artystycznymi. Rozpiętość punktacji wynosiła od 1 — 25; żeby można było przejść do II-go etapu kandydat musiał otrzymać minimum 18 punktów.

II-gi etap wyłonił 18-tu finalistów, z których każdy — z kolei w III-cim etapie odegrał z towarzyszeniem orkiestry jeden z dwóch koncertów. W ostatecznym wyniku trzynastu uczestników otrzymało dyplomy z nagrodami; trzech tego rozdzielono 5 nagród pocieszenia.

Wszystkie członkowie jury stwierdzili wysoki i wyrównany poziom

prawie wszystkich uczestników konkursu (niekiedy różnice w punktacji między dwoma kolejnymi laureatami sprowadzały się do 3-100-tych punktu), a należy pamiętać, że wśród członków jury znajdują się wybitni pianiści europejscy, niejednokrotnie laureaci poprzednich Międzynarodowych Konkursów Chopinowskich.

Na tle wypowiedzi jurorów tym większą radością napawa nas wspólny sukces polskich artystów. W grę tu wchodzi nie tylko zdobycie po raz pierwszy w historii Międzynarodowych Konkursów Chopinowskich przez polską pianistkę Halinę Czerny — Stefańską (jednej z dwóch pierwszych nagród (1-szą z nich otrzymała Bella Dawidowicz ze Związku Radzieckiego), ale sukces całej naszej ekipy; — z pośród trzynastu nagród osiem przysługano artystom polskim. Niewątpliwie w dużej mierze zwycięstwo to zawdzięczają młodzi artyści warunkom materialnym, jakie im stworzył Rząd Polski Ludowej. One to umożliwiły spokojną pracę przygotowawczą do konkursu na przestrzeni całego roku. Pobyt młodych artystów w Łagowie i zostosowana tu po raz pierwszy metoda zespołowej pracy wybitnie przyczyniły się do osiągnięcia wspaniałych rezultatów.

Wybitną szkołą pianistyczną, jaka zarysowała się na tle konkursu, jest szkoła radziecka, — również o dużych tradycjach w Międzynarodowych Konkursach Chopinowskich.

Doniosłe jest znaczenie Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego. Skierował on bacniejszą uwagę artystów całego świata na twórczość Chopina. Pociąga to za sobą różnorakie skutki. Niewątpliwie przyczyni się do głębszego zrozumienia muzyki genialnego polskiego kompozytora zarówno przez odbiorców jak i wykonawców. Muzykom dał konkurs możliwość skonfrontowania własnych sposobów odtwarzania utworów z interpretacjami innych wykonawców, a masy narodu zbliżył do największego polskiego geniusza muzycznego. Ale na tym nie koniec.

Właśnie dziś w okresie panowania w krajach imperialistycznych kosmopolitycznej teorii o istnieniu ogólnoludzkiej, ponadnarodowej kultury, która to ideologia sprowadza się do walki z kulturą narodową, „twórczość Chopina — jak stwierdził premier Cyraniewicz w swym przemówieniu na uroczystej akademii jest klasycznym przykładem oczywistej prawdy — że nie ma nieprzemijających, nieśmiertelnych, ogólnoludzkich wartości kulturalnych, które nie tkwiłyby korzeniami w swym i ukształtowana przez twórcę formą w narodzie, w jego przeżyciach i dążeniach. Tym bardziej te wartości stają się ogólnoludzkie, im bardziej są narodowe”.

M — ka



Przyjaciele: Andrzej, Stach, autor i Antos



Szkoła dla dzieci dawnej „wsi służących”



Przyszedł list od rodziny z Ziemi Odzyskanych

J O Z E F G R A B O W I C Z

W WALCE O CZUJNOŚĆ KLASOWĄ

Przyjaciele

Wpadłem na dzień do rodzinnej wsi. Umówiony byłem z moimi przyjaciółmi, którzy pracują i działają na miejscu. Ja odbiłem od paczki... na uniwersytet. Pierwsze tygodnie rozłąki i pierwszy termin spotkania. Spóźniłem się na umówiony termin o 2 dni. Ale wiedziałem, że i tak się spotkamy.

Przyjaciół jest trzech. Najstarszy Andrzej, ma już ponad 30 lat. Od dziecka wychowywał się sam. Odumarli mu rodzice, pozostawiając w spadku półtora morgowy zagon. Gospodarował już na nim, będąc jeszcze chłopcem, odrabiał u sąsiadów za konie. Nie wystarczyło. Dorabiał w folwarku. Do „Wici” wstąpił jeden z pierwszych. Zbierał książki dla biblioteczki młodzieżowej i kłóty z ambony. W 1937 r. za udział w strajku chłopskim został aresztowany. Podczas okupacji bił się w szeregach G.L.U. Po wojnie dostał ziemię z reformy rolnej. Wskrzesa „Wici”. Potem patronuje kołu ZMP-u, jest członkiem Rady Gminnej. Ukończył kiedyś tylko 4 oddziały. Odbił jednak żmudną drogę samouka.

Drugi przyjaciel to Antos. Ma 22 lata. Przewodniczący koła Gospodarczego z babką na 3 ha, otrzymujących z reformy rolnej. Ojciec — wyrobnik, wysłany na roboty do Niemiec podczas okupacji, zginął, matka umarła przed czterema laty na gruźlicę. Antek to też samouk. Ma za sobą kilka kursów i duże odczytanie.

Trzeci przyjaciel — Stach. Licealista. Nie tak dawno jeszcze pasaliśmy razem krowy. Stach jest jedynym z dziesięciorga dzieci. Gospodarka ojca nie przekraczała 4 ha... na piaskach. Stach podczas okupacji służył po okolicznych wsiach.

Po wojnie dostał się do gimnazjum w Głownie. Ma stypendium. Pracuje i uczy się. Założył koło sportowe we wsi.

Spotkanie zaczęło się jednak nie od rozmowy. Nie było czasu, przyjaciele spieszyli się na zebranie koła, gdzie Antos miał wygłosić referat. Zabrał mnie Poszedłem i pozwole, że dalej, zamiast opowiadania, podam referat Antosia, wiejskiego aktywisty ZMP-u. Za pisałem go wiersze. Tak mówił mój przyjaciel:

Plew i Kaloraki

Koedzy! Wicie, że Komisja Specjalna wykryła w spółdzielni nadużycia. Prezes Plewa przywłaszczył sobie, ratami oczywiście — milion złotych. Dwa miliony jego kumotrowie i kuzyni. Dla wielu było to niespodzianką. Dla innych nieuniknioną konsekwencją.

Dlaczego było to dla wielu niespodzianką? Plewa uchodził w opinii za zasłużonego działacza. Był osobą na gminie. A inne wielkości to jego krewini i kumotrowie. Kto go miał krytykować?

Z początkiem okupacji nawładza kancelarie gmina, zostaje podwójcom. W 43 r. wojcie. Broni ludność wiejską przed wyjazdem na roboty do Niemiec, broni przed zaciąganiem do kopania rowów. Od początku jego sławy — patrioty. Ale przypominajcie sobie. Pojechali ludzie na roboty? Pojechali. Chodzili do kopania rowów? Chodzili! No więc jak to było naprawdę? Bardzo prosto. Gospodarze ochronili swoje dzieci, swoich szwagrow i zięciów. Pojechali zmówieni ochronili swoje dzieci, swoich szwagrow i zięciów. Pojechali zmówieni ochronili swoje dzieci, swoich szwagrow i zięciów. Pojechali zmówieni ochronili swoje dzieci, swoich szwagrow i zięciów.

Po wojnie Plewa nadal na wierzchu. Uczestniczy w realizacji Reformy Rolnej, inicjuje wyjazd chłopów na Ziemię Odzyskaną. Znowu zasługi. Ale wypchał biedniaków z takich Wrzósów na Zachód, to była równocześnie asekuracja przed rozrachunkiem z nimi za roboty w Niemczech, to było również ułożenie warunków na rozkład ziemi z reformy rolnej, pomyślny dla gospodarzy. Ściszone „wieś służących”. Najśmielsi, ryzykanci skoczyli na Ziemię Odzyskaną. Co do pozostałych można było liczyć na psychologię onieśmielonych służących. Można było dawać i gospodarzom i tym karłowatym. Wmówić im:

„sami sobie pomóżcie”. Im więcej was wyjedzie, tym więcej waszej ziemi zostanie do rozdziału między pozostałych.

Plewa nie był osamotniony. Wspomagał go szwagier Kalorak. Też działacz. Zakładał przed wojną kółka rolnicze, spółdzielnie. Wszedł na preza Rady Gminnej, a w zarządzie również paru kumotrow. W ten sposób ród Plewów reprezentował gminę na wewnątrz i na zewnątrz. Stary Plewa, kiedy go spółdzielca, Kalorak, zastąpił w gminie, przerzucił się na spółdzielczość. Prezes zakłada filie. Organizacyjnie spółdzielnia gminna rozrasta się, a w tempie tego rozwoju (założone w spółdzielni) prywatne konto pana prezesa i krewnych. Pytanie: czemu miało służyć tempo? Spółdzielczości czy prywatnemu kontu „działacza-przedsiębiorcy”?

Komisja Specjalna zdarła nim z elity działaczy-przedsiębiorców. Skandali ośmielił małorolnych. Średnia 1000 wybiły z głowy ambicje „bogackie”. Wycofa ich z przyjaźnienia się ze skompromitowanym stanem bogaczy-przedsiębiorców. Zaniechają z nimi kumoterstwa.

„Wieś służących”

Dla nas jest okazja ruszenia frontu biedniaków. I o tym chciałem właśnie mówić i tak jak zapowiadałem — na przykładzie Wrzósów, „Wsi służących”.

Wieś pod naszym bokiem, o trzy kilometry.

Na obszarze 188 ha, z tego 80 ha nieużytków, żyło tam przed wojną 46 rodzin.

Jedno gospodarstwo posiadało przeciętnie 2,5 ha. Na bardzo ciężkiej glebie rości przeważnie wrzos, stąd utarło się przeważnie wsi Wrzósów. I choć nazwa wsi brzmi Helenów, niewiele w okolicy zna Wrzósów pod tą nazwą. We wsi szerzyła się niesamowita niedza. Chłopi z Wrzósów, nie mogąc się przed wojną utrzymać ze skromnych zagonów, skoro przyszła wiosna, wyruszyli w pańskie lasy, zbierając jagody, poziomki, jeżyny i grzyby, inni wyrabiali miotły, koszyki czy drewniak. W lecie palono w izbach ściółką, zimą wrzosem. Szerząca się niedza była przyczyną ciągłych waśni i konfliktów rodzinnych i sąsiedzkich.

Ostatnio przed wojną głośny był wypadek, kiedy chłop uciął swej żonie głowę siekierą na pieńku. Wypadki o podobnym charakterze należą do moźna sporu.

Wrzósów były słynne z tego, że „produkowały” zastępy pastuchów i parobków, które z powodzeniem pokrywały zapotrzebowanie bogatych chłopów w okolicy. Kandydatów do służby nigdy nie Wrzósach nie brakowało. Dzieci od lat 7—8-miu oddawali rodzice z reguły na służbę. Na całej wsi znajdowały się załadowe 2 konie, których posiadaczami byli najbogatsi we wsi gospodarze, właściciele 7-hektarowych gospodarstw.

Oczywiście, że o nauce w tych warunkach mowy nie było. Analfabetyzm zapuścił tu bardzo głęboko swe korzenie. Dwóch załadow na przesłaniu lat przedwojennych osiągnęło edukację 5 klas szkoły powszechnej. Tych zaś, co byli na służbie, do szkoły rzadko posyłano, a służyło ostatnio z Wrzósów przed wojną 30—40 osób rocznie, w lata neurodzaju jeszcze więcej. Taki parobek, gdy już się dobrze podstarzał, wracał na Wrzósów, żenił się w obrębie wioski (bo żadna inna nie chciała „działa z Wrzósów”) dzielił się z rodzeństwem kawalkiem ojcowskiego zagonu i powiększał szeregi wiejskiego proletariatu. Kilku takich próbowało emigrować do Łodzi — miasta, ale przeważnie wracali, nie mogąc znaleźć stałego zatrudnienia. A starzy? Starców niezdolnych do pracy wysyłano po prośbie.

Znane było przed wojną powiedzonko: „Skąd idziecie dziadku?” — a z Wrzósów. Podczas okupacji Wrzósów był głównym rezerwuarem, skąd gmina czerpała ludzi na roboty rolne do Niemiec. „Wieś służących” w opinii okolicy winna była docenienie „okazje” i chętnie sprzedawać się bogatym, by wyjechać za nich do Niemiec.

Kwitł też na Wrzósach podczas wojny pokatny przemysł alkoholowy. „Bimber” był tu masowo produkowany.

Wrzósów obecnie świecą pustkami. 29 rodzin wyjechało na Ziemię Odzyskaną. Gospodarstwa po nich oddzielczyli pozostali, nieużytki zaś zostały oddane przez władze samorządowe pod zalesienie.

Zebrałem kilka listów z Wrzósów, jakie pisali do rodzin ci, co wyje-

chali na Ziemię Odzyskaną. Postachajcie:

Listy byłych służących

Izbiska, 5.VIII.49 r.

„W pierwszych słowach mego listu niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, a spodziewamy się, że nam odpowiecie na wieki wieków amen. Teraz piszemy, że jesteśmy zdrowi, czego i Wam życzymy. Dalej piszemy co u nas słychać. Żniwa żeśmy sprzątnęli dosyć pogodnie, chociaż trochę deszcze przeszkadzały i ciekawi jesteśmy jak u Was były żniwa, czy pogodnie, czy nie, bo słyszeliśmy, że w okolicy Warszawy porosło zboże w mendlach, więc się martwiliśmy, że może u Was to samo. A teraz podchodzi pora jesieni, więc idzie się co dzień w pole i się orze i bronuje. Kupiliśmy sobie konia dobrego, tak że sobie wszystko sami obrobimy. Daliśmy za konia 130 tys. zł. Gospodarstwo nam się pomatu powiększa, mamy 4 szt. bydła, 5 świń i konia to już teraz by jakoś leciało. W tym roku już nam będzie łatwiej niż w zeszłym, bo zboża starczy nam do jedzenia, do zasiania no i dla świń. Chociaż za dużo jeszcze nie mamy, bo jak Wam wiadomo w takich odłogach bez konia za dużo nie możemy zasiać. No, ale zawsze 60 mętrow omlot, to już będzie łatwiej. Ze wszystkim u nas jest dobrze, tylko za mało nas jest do roboty, a co zresztą, to nam nie nie brakuje. Przesyłamy ukłony dla całej rodziny na Wrzósów”.

Oto następne:

„Na początku wszystkich Was pozdrawiamy, bo my dzięki Bogu zdrowi jesteśmy. Żniwa w tym roku mieliśmy galante, żyta i w ogóle to nam chyba do nowego starczy, a może się co jeszcze sprzeda. Kartofli się też ładnych spodziewamy. Tak wszystko pompuje się normalnie i człowiek zaczyna teraz wiedzieć, że żyje na świecie, bo do tej pory to była inna męka a nie życie, ale jak to mówią często, nie odrzućcie przeciw Kraków postawili. Poza tym wszystko w po-

rzadku. Oprosiły się nam dwie maciory, co to od Was prosiłkami malymi przywieźli. Mamy razem 19 prosiat i 3 plewniaki. Krowę tę, co ze sobą zabrał, tośmy sprzedali, a kupiliśmy drugą i jałowkę. Jałowka się wczoraj ocellila, ma byczka. Tylko nam tego starego psa szkoda, bo zdechł. Mówiła w liście, że u Was gadała, że wojna będzie. My się dziwimy, bo bliżej jesteśmy i nic o tym nie wiemy.

Została z Bogiem.

Izbiska 23.IV.49 r.

„List od Was otrzymałem, za który Wam serdecznie dziękujemy. Zapytuję się nas, czy jest u nas ziemia pod kartofle? Ziemi to jest dosyć, można sadzić morge, 2 morgi i nie tylko kartofle, ale arbuzy, pszenicę, kapustę. My zasialim hektar pszenicy i mieszanki dla świń. Teraz Władek uprawia pod kartofle, będziemy sadzić morge. Zapytuję się nas jak jest z mieszaniem. Mieszkań też jest dosyć.

My mamy 6 mieszkań i 2 sienie. Jedna siena na podwórzu a druga na drogę. Za drogą jest kanał, którym jeżdżą statki do Gdańska i Elbląga do Nowego Dworu. U nas jest wesoło. Jak byś chciał do nas przyjechać to do jednej chałupy puścić komornika, a drugą niech wam pilnuje. Zebyscie choć przyjechali na 10 maja, o kartofle się nie martwili, bo się narodziło to i dla Was starczy. Zebyscie mogli zrobić sobie parę gęsy na świnie. Mamy nasiane rozsady kapuściane i brukiwi to będziemy wozili dla Gdańska. Statek przystaje koło naszego mieszkania. Nasze mieszkanie mamy ciepłe. Mamy agrest, porzeczki, jabłka, gruszki, śliwki, wiśnie. Pytacie czy będzie wojna? Nie wierzę, co ludzie gadają. Bardzo dużo rodzin tu przyjechało, a stąd nas nie ruszą, bo to nasza ziemia. Nie słuchajcie Janka ani Leona tylko przyjeżdżajcie, bo nam jest o wiele lepiej niż na Helenowie. Przyjeżdżajcie na Zachód.

Czekamy na Was.

Skwieżyna, 28.VIII.49 r.

EUGENIUSZ DOŁMATOWSKI

Była wojna

W hotelach dziś szczęśliwie biegać dnie
Lub gdzie zaprosi dobry nas przyjaciel,
A na ulicach — wczesny, pierwszy śnieg
I cały świat przed nami w białej szacie.

Nasz pierwszy śnieg nam pod Łozową spadł,
A drugi topniał Wołgi szarą smugą,
Nasz trzeci śnieg na Kijów szedł jak grad
I czwarty śnieg nad Wisłą fruwał długo.

Lecz oto znów nad nami pierwszy śnieg
Z tunelu metra parą ciepłą chłusta
I chciwie łowią twój beztroski śmiech
Spękane wiatrem, twarde moje usta.

Nie mamy dotąd domu, Światło gwiazd
Nam czule świeci — pograżonym we śnie.
Budować po trzydzieste jeszcze raz —
To nie za późno jeszcze, choć nie wcześniej.

I tylko ten narzekać dzisiaj śmie,
Kto chyba spał, gdy burza grzmiała zbrojną.
Z policzka twego kropłą spłynął śnieg.
Jesteśmy żywi, chociaż była wojna.

ALEKSANDER TWARDOWSKI

* * *

Z każdym krokiem lżej mi i weselej.
Już po deszczu. Łąka w słońcu lśni.
Nie pamiętam ciebie, przyjacielu,
Nie znam ciebie ani twoich dni.

Gdzie zginąłś? W jakich padłś bojach?
Nie wiem, nie wiem — ale potoś padł,
By piękniejsza była ziemia twoja.
I szczęśliwsza niż za dawnych lat.

Dymem, wiosną z pół mi w twarz powiało.
Idę naprzód, żywy, pelen sił...
Otom zerwał bzu podwójną gałąź...
Gdzież ten bez, co w dłoniach moich był?

Przyjacielu, druho, nie rozpaczaj,
Ze cię nie ma, a tu kwitną bzy.
Czyżbym — twój następca — chciał inaczej,
Chciał inaczej umrzeć niż ty?

przełożył Eugeniusz Żytomirski

„Piszemy do Was parę słów, czy jesteście zdrowi i co u Was słychać? Jesteśmy teraz w drugim miejscu tam gdzie jest Włuka, Skulmowski, Dratwa, Leszczyński, jesteśmy na jednej wsi. Mieszkanie mamy duże. Mieszkań jest 9, obora, chlewy, stodoła.

Piszemy Wam, żebyście do nas przyjechali, bo podobno ojciec ma chęć. Przyjeżdża, mieszkanie jest duże, będzie nam lepiej niż na Helenowie. U nas życia jest dosyć. Jest masło, sery, mleko słodkie i kwaśne. Mamy tego dosyć. Jak byś mieli przyjechać to w listopadzie, bo pojadą tam po konie Włuka, Leszczyński, Dratwa to byś mogli razem przyjechać. Nie namawiamy Was, ale byś u nas mieli lepiej, byś mieli 2 pokoje i kuchnię.

Pozdrawiamy całą rodzinę.
31.VIII.49 r.

„W pierwszych słowach naszego listu niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Nie gniewajcie się, że Wam tak długo nie odpisywałem, bo wiecie jak u nas jest z robotą. Roboty po uszy. Pieniądzy narazie nie mamy, bo kupiliśmy sobie motor i sieczkarnie. Przyjeżdżcie do nas do kopania, bo kartofli mamy sporo”.

Dowidzenia.

Dobre i złe

Koedzy! Odczytałem Wam kilka listów dawnych służących z Wrzósów. O czym one mówią? O wielu naraz sprawach. Zaczniemy najpierw od dumy, jaka rozpiera tych, którym życie dotąd ubiegało na po niższej powiewie. W każdym liście macie też żelazną pozycję chwalby: gospodarstwo, dobytek, bogaty zbiór i... „apartamenty”.

O tym pisał ci, których łapserdakami zwano przed wojną i podczas okupacji — łachami skazanymi w starości na dziadowską torbę.

Mają prawo być dumni, bo dobytek i dochód umieli wypracowywać. Mieli dość entuzjazmu i wiary aby powiedzieć sobie „nie odrzuć Kraków postawił”. „Apartamenty” też umieli szanować. Oni, którzy wyszli z komorniczych lepiank z posród piaszczystych łąchów. Mieszkania, izby, pokoje. U nas 6, u nas 9 — pisał.

Przed wojną — w nędzy — wybuchali bójkami „siekirowe” w rodzinach. Dzisiaj, ci na zachodzie namawiają swoich z Wrzósów do siebie, zapraszają, nęca.

Kartofli i „życia” nie zbraknie. Byś u nas — mieli lepiej, byś mieli 2 pokoje i kuchnię. Ich skok, ich awans gospodarczy i społeczny nie wyżył ich ludzkiego uczucia. Przeciwnie, dopiero dał im okazję do wyzwolenia się, ukazania, wysubtelnienia. Jest w tych listach — obok dumy, coś opiekuńczego. Wyższość uzyskanej i osiągniętej siły życiowej, a wraz z nią szerszego widzenia. To oni, jakby zlekka strofują Wrzósowiaków, gdy ci pytają: będzie czy nie będzie wojny. Takie pytanie to durne pytanie, godne tych, co myślą wciąż głowami „służących”.

A nasi na zachodzie przestali być „służącymi”.

To jest jedna strona tych listów. Ale jest i druga. Co to znaczy, że przestali być „służącymi”? Że ich najskrytsze i najbardziej fantastyczne marzenia z przed lat zostały dziś spełnione? Jakie było to życie tych marzeń? Tożysko wytwarzały Plewy i Kaloraki. U takich przecież służyli. A pamiętajmy, że oni widzieli „wielkość” Plewów od strony kulis. Wieś widziała „szlachetnych” społeczników, którym równoległe z pracą publiczną okrągłymi gospodarką, ale nasi służyli widzieli mechanizm i proces narastania tego bogactwa. I dobrze rozumieli, że w tym bogactwie tkwiła siła społecznego znaczenia ich chlebobawców. Kiedy marzyli o tym, aby wyjść z roli „służących” — śniły im się postacie Plewów i Kaloraków.

Kulacy — pamiętajmy — nie tylko wyzyskują ale i demoralizują. Ich droga życiowa budziła nie tylko zawist ale i podziw. Wyciskała swe piętno w świadomości biedoty, każąc jej usługiwać i ulegać bogatym, a gdy los się poszczęścił — naśladować wzór kulaczy. Otóż w tych listach, które czytałem, w listach co prawda prywatnych, mó-

wiących o osobistych zazwyczaj sprawach pobrzmiewa coś z tej melodii „bogacenia się”.

„Mamy już 4 sztuki bydła — pisze jeden — 5 świń i konia to już teraz by jakoś leciało”. Przed laty nie miał ani konia, ani świń a pewnie i krowiny, siedział na 2 ha piasków a kiedy dziś skoczył naprzód równymi nogami — dopiero „by jakoś leciało” — pisał. Inny pisze: „Roboty po uszy. Pieniądzy na razie nie mamy, bo kupiliśmy sobie motor i sieczkarnie”. Nie ma! to pieniądze na sieczkarnie i na... motor! Będzie wynajm i przedsiębiorstwo! I taki już z innego tonu zaczyna — nie na pokoje zaprasza, nie na arbuzy, agrest, jabłka, gruszki, śliwki i wiśnie, nie na ciepłe mieszkanie, nie do rodziny, gdzie wesoło, ale „przyjeżdżcie do nas do kopania kartofli, bo ma my ich sporo”. Oto, jak motor zamienia list do rodziny na ofertę przedsiębiorcy, poszukującego rąk do pracy... we własnej rodzinie.

I zwróćcie koledzy uwagę jeszcze na jedno: Ci byli „służącymi” bez szkół, niepiśmienni w dzieństwie, do pióra, wprawieni gdzieś kiedyś przy okazji na własną rękę, a częściej nad listem zastępowani przez żony (wzięte na zachodzie), ci służyli — parobcy, którzy kiedyś kulture czerpali z kościoła i domu swych chlebobawców — zaczynają listy od sakramentalnego „niech będzie pochwalony”. Zaczynają tak i ci jeszcze „pocześniwi”, którzy pół listu poświęcają na szczegółowe opisanie trasy podróży, aby ułatwić swym krewnym przyjazd do 2 pokoi i kuchni, jak również ci, którzy motor zakupili a rodzinę werbują do pracy najemnej u siebie.

O czujność rewolucyjną

Proszę kolegów, wydaje mi się, że nam należy działać w dwie strony. W jedną do tych, co wyjechali, w drugą tu, u nas w terenie. Ale właśnie przy pomocy tych na zachodzie. Oni tu we wsi i w okolicy mają uznanie. Oni mają gospodarki — a byli dziadami. Dobrze im się wiedzie. No i ryzykanci byli. Taki kawał śwata przejechali, że tam daleko są — to budzi podziw. Mądre lby.

Okazuje się, że się nie porozłatowali. Są gromadami. Trzeba nam do nich napisać. Postawić sprawę jasno. Wyszłście z tej samej doli służących. Dostaliście ziemię, ale nie od panów i kulaków. Od nowej Polski. Sprawiedliwość wam oddała Polska Ludowa. A wy co? Zapominacie, skąd przyszła odmiana waszego losu i dokąd prowadzi? Myślicie tylko o własnym, prywatnym dorobianiu się? Już są tacy posród Was, co do motoru doszli i będziecie u nich młócić, zadroszcząc może, czemu z was każdy nie był taki bystry, co? Zapominajcie już o Waszym dawnym, zbiorowym cierpieniu? Nie chcecie się do niego przyznać? A my Was prosimy abyście się onatrzyli i naprostowali. „Wieś służących” może być dziś wzorem innego, nie kulackiego życia społecznego. Wasz honor tego wymaga i my w wasz proletariacki honor wierzymy.

Prawie każdy z Was pisze, że dochód byłby jeszcze większy ale rąk do pracy w gospodarstwie mało. Ej, Skulmowski, Dratwa i Leszczyński a nie powinniście to pierwszy pomyśleć o spółdzielni produkcyjnej?!

Napiszemy im o Plewie, Kaloraku i innych kumotrach. Niechże ich krew zaleje i stare rany się otworzą. Niech tu nadeślą sierzyscy listy. Niech poruszają biedotę, aby się ośmieliła, postawiła i wzięła w swoje ręce sprawy gromady i gminy: spółdzielnię, komitety członkowskie, Radę Gminną i co będzie potrzeba.

Niech sprawa Plewy i kompanii uprzytomni im jaka jest i dokąd wiedzie droga ślepego, kapitalistycznego bogacenia się. Niech tam, na zachodzie przytrzą rogow tym, którzy posród nich na tę drogę wzięli i niech do nas piszą o takich swoich działaniach, które tu wzorem powinny być. I staną się, jeśli oni tam je rozpoczną. Bo biedota im uwierzy i będzie naśladować.

Józef Grabowicz



Narada w kolchozie



Zabudowania gospodarcze kolchozu

W korespondencjach na temat wyborów do gromadzkich Komitetów Członkowskich Spółdzielni zwrócił moją uwagę list, pochodzący z okolicy, która była kolebką spółdzielczości.

Autor listu, ma świadomość tej przeszłości. Przywołuje ją na świadka obecnych czasów i z zestawienia wyprowadza niepokojąco fałszywe wnioski.

„Okolica nasza — podkreśla — to teren działalności najstarszych ludowców, ziemia Słomków, Kurasiów, Magrysiów, filantropijno-społecznej działalności różnych patronatów nad ludem, kraj najwcześniej obdarzony „Kółkami Rolniczymi” i Kasami Reiffeisena (później Stefczyka) itd. itd., słowem kraj „oświecony”. W 20-lecie, w okresie wzrastających kryzysów, tu właśnie najwcześniej otrądzono odwrótną stronę medalu, przekonywując się, że ówczesna spółdzielczość miała oprócz blasków także bardzo prozaiczne cienie. Bankrutowały jedno po drugim „Kółka Rolnicze” w poszczególnych miasteczkach i powiatach, (dość wspomnieć Przeworsk, Jarosław i Tarnobrzeg z ich „Niwami”, „Rolnikami” i „Żniwami”); zwałając całą swoją „nieograniczoną odpowiedzialność” na pierwszych zapaleńców spółdzielczości.

Procesy i licytacje nieruchomości wlokły się jak cięć za najpierwszym w tych stronach porwytem spółdzielczym. Czas nie służył dalszemu rozwojowi spółdzielczości. W następnych latach ilość nowopowstałych spółdzielni dała się policzyć na palcach jednej ręki. Dopiero okupacja i szansa na przykrycie spółdzielczym płaszczykiem konspiracyjnego działania sprawiły, że w pierwszych trzech latach okupacji powstało ich więcej, niż w ciągu dziesięciu ubiegłych.

Było tak w naszych wsiach, że spółdzielnia stawała się wspólną troską (rzadziej dobrem) całej gromady. Sklepek miał liczną radę nadzorczą i jeszcze liczniejszych protektorów...

Bywało, że każde zdobycie nowego worka soli dla sklepu było triumfem całej gromady, bywało też, że dla uchronienia sklepu od strat cała gromada wykupywała zepsuty towar... O personalnej obsadzie zarządu decydowała cała gromada bez względu na to, że regulaminy i statuty stanowiły inaczej... Była to żywiołowa spółdzielczość i skończyła się z dniem połączenia się w gminne spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej...

Cóż na te zmiany wpłynęło zdaniem korespondenta?

Po 1) to, że zarządy zostały „wytypowane” przez partię i Stronnicztwa Ludowe i w składzie personalnym nie odpowiadały „gromadom”.

Po 2) powstała centralizacja, co rozczuliło — zdaniem korespondenta — t. zw. kumoterstwo. Powiatowy działacz spółdzielczy przedzierzał się często w „kacyka” samowolnego i „typował” swoją rodzinę i kumoterów na spółdzielnie gminne. Tak pono jest w powiecie naszego korespondenta.

Po 3) biurokracja — wyrosła przy okazji koniecznego rozrostu aparatu spółdzielni. Pakowanie na urzędniczym i pracowniczym panienkach po siedmiu oddziałach, którym nie opłacało się studiować w licejach, a nawet za licznych gimnazjalach i liceach handlowych w powiecie. Oto dalszy łańcuszek protekcyj.

Mamy zatem dwa obrazy — przeszłości i teraźniejszości. Korespondent nie widzi między nimi żadnego związku, tym bardziej prawidłowego. Jego charakterystyka obu jest z gruntu fałszywa. Oto, co wypada nam wyjaśnić dla nauki innych.

Zacznijmy od obrazu przeszłości. Autor nagromadził bogaty łańcuszek przesłanek dla wniosków wręcz przeciwnych tym, jakimi zamknął obraz przeszłości.

„ZIEMIA SŁOMKÓW KURASIÓW I MAGRYSIÓW”

Ma ta ziemia najlepszych pamiętników kapitalistycznego rozwoju wsi. Pamiętnikarzy, którzy byli zarazem bohaterami wczesnego kapitalizmu na wsi galicyjskiej. Budował go i Słomka i Magryś. Jeden z pozycji „kniecia”, drugi z pozycji komornika — tkacza. Optymizm, bo jeden miał, drugiemu się udało. Społeczny, bo zakładali Kółka Rolnicze, przy nich sklepiki, Kasy Reiffeisena, mleczarnie, kościół i spółki narzędzi rolnych. Byli twórcami postępu społecznego i gospodarczego, ale nie można zapomnieć o kierunku tego postępu. Budował on i ugruntowywał stosunki kapitalistyczne na wsi. Wzrost gromady formował pod przewodnictwem bogaczy wiejskich i na ich rzecz. Rozwijał klasowo wieś, utrudniając dojrzewanie

PIOTR CHMURA

KOMITETY CZŁONKOWSKIE

świadomości klasowej biedniaków i podejmowanie przez nich zorganizowanej walki.

Kółka rolnicze wyrosły nie z potrzeby powszechnego pogłębienia wiedzy rolniczej, a w imię interesu chłopca — drobnego przedsiębiorcy. Miały dawać nie zawał, a dochód z kapitału. Organizatorami Kółek byli dlatego majetni gospodarze, z kapitałem inwestycyjnym do modernizacji. Nowa wiedza rolnicza u małych rolników i u wielkorolnych nie mogła grać tak samo i nie grała. Na 50 ha prowadziła do skoku w dochodzie, na 3 ha, przy braku inwestycyjnego kapitału i narzędzi — marnowała się. Kółko przynęcało, wiedza rolnicza zapalała i budziła nadzieje. Ale jej wykorzystanie należało do bogatych. Skoki ich zysków hamowały rozwój małych rolników.

Większa wydajność z ha (postępująca pod koniec w. XIX) potaniała produkt. Masa towarowa z dużej gospodarki pokrywała obniżkę na jednostkę towarową i osiągała dużą sumaryczną nadwyżkę. Małe gospodarze odczuwali boleśnie ten wycisk na jakości i ilości i cenę produktów z ha.

Przypomnijmy sobie, co mówił Słomka: „nastąpi wszędzie rozpowszechnienie i dobre plugi, pługiki, brony, pazury, młynki do czyszczenia zboża, sieczkarnie kieratowe... choć niektóre z tych ulepszonej narzędzi mają obecnie tylko zamożniejsi gospodarze... Takie duże narzędzia rolnicze zakupują w ten sposób, że gospodarze łączą się ze sobą w spółki”. Wszędzie — u Słomki znaczy — w każdej wsi. W każdej wsi pojawiły się nowe narzędzia najpierw u bogatych. Im droższe, nowsze, ważniejsze maszyny tym bardziej pierwszymi ich posiadaczami byli bogatsi, tym później (lub nawet wcale) — biedniejsi. Od Kółka albo przez Kółko do spółki maszynowej, to była droga bogacenia się indywidualnego

pod firmą społecznego działania. I takie społeczne działanie podbudowywało autorytet bogatych, dezorientowało biedotę i podporządkowywało ją ich przewodnictwu.

Trzeba pamiętać o dwóch drabinach w rozwoju kapitalizmu na wsi. O wstępującej i zstępującej.

Oto drabina kapitalistycznego wzrostu dochodu: wielomorgowe gospodarstwo — prywatne narzędzia rolnicze — wyższa wiedza rolnicza — maszynowa spółka — drogi, kolej (transport wielko — handlowy) hurt — pozycja społeczna do wykorzystania ekonomicznego (sołtys, wójt, radny prezes kółka, spółdzielni, delegat do sejmiku, poseł i t. p.).

Oto kapitalistyczna drabina utraty dochodu: gospodarstwo karłowate — brak ważniejszych narzędzi i sprzętów — niższa wiedza — brak wkładu do spółki, brak pokrycia dla większej pożyczki — drogi, koleje nie wyzyskane, zbyt duży koszt, za mały transport — niemożliwość uzyskania wyższej pozycji społecznej na wsi, w gminie w powiecie.

Sam nasz korespondent pisze o „filantropijno — społecznej działalności różnych patronatów nad ludem”. W którym miejscu dokonywało się to spotkanie? Czy nie w klasie bogaczy, nie w klasie kmiecio — kapitalistycznych autorytetów? Nie tę klasę obdźlało ziemiaństwo, inteligencja — „narodowa demokracja” (mówiąc po imieniu) nimbenem uznania? Nie jej autorytet — wzmacniano na wsi? Macierze, TSL, szkoły ludowe wychowywały do solidaryzmu społecznego; na gromadzie oznaczało to solidarność z bogaczami, chodzącymi w nimbie postępowców agrarnych i społeczników. A było to w kierunku, treści i skutkach „społecznikowo” kapitalistyczne.

Nie bez powodu przypominamy tak dawne dzieje — sprzed pół wieku nawet. Korespondentowi naszemu

zostały w pamięci głośne nazwiska i nazwy instytucji jak „Kółka Rolnicze”, „Kasy Reiffeisena” i Stefczyka, nazwy filantropijnych patronatów i w sumie wrażenie „Ziem oświeconej”. Przeszłość ukazuje, jak epokę „złotego wieku”; szczęśliwych gromad z błogosławionymi społecznikami.

Ten mit odarliśmy z idealizmu. Została prawda. A w niej po 1) wpływ na gromadzie kulałów, ich przewodnictwo i podporządkowywanie sobie gromady, w toku jej wyzyskiwania i proletaryzowania. Po 2) obraz pierwszych form społeczno-gospodarczej działalności społecznej, która za społeczną uchodziła i taką żyła tradycja, a w swej treści, kierunku i skutkach wyrażała rozwój kapitalistycznych stosunków na wsi, ułatwiając bogacenie się nielicznej nieuchronnie proletaryzującej obywateli większości wsi.

Uderzające są dwa fakty. Spółki i w mieście i na wsi powstawały najpierw wytwórcze, spółdzielnie — konsumpcyjne. Pierwsza forma wyrażała rozwój i panowanie kapitalizmu, druga — zagrożenie jego niszczących skutków.

Historia bankructw, o jakich wspomina nasz Korespondent (w okresie XX-lecia) Składnie Kółek Rolniczych, Rolników i Niw ilustrowała proces ten sam, jaki występował na wielką skalę w towarzystwach akcyjnych i spółkach przemysłowych. Albo spekulacji, którą uprawiali najsilniejsi akcjonariusze i zazwyczaj dyrektorowie albo cios nadchodził od konkurencyjnych potężniejszych przedsiębiorstw. Spółdzielnie (typu konsumpcyjnego — sklepiki) borykały się z prywatną konkurencją i własną dwiema naturą — podlegającą prawu zysku i cen rynkowych. I one nie pozostały bez wpływu i udziału społeczników, działających po drodze kapitalistycznego dorobku,

po drodze solidaryzmu społecznego, demokracji parlamentarnej i agrarizmu. Korespondent widzi natomiast tylko „zapaleńców” spółdzielczości. „Procesy i licytacje, wlokące się za najpierwszym w tych stronach porwytem spółdzielczym”. — „Czas nie służył dalszemu rozwojowi spółdzielczości”...

Owszem, nie służył z dwóch przyczyn. Był to czas kurczenia się krajowej produkcji. Wynik polityki kapitału zagranicznego i zależnej od niego polityki naszej burżuazji, zdradzającej naród i spychającej go w nędzę półkolonialną. Padły mniejsze przedsiębiorstwa — padły sklepiki spółdzielcze. A drugi powód? — Spółdzielczość (i wiejskie spółdzielnie) szła nie tylko za wzorami czasy i dąskimi, ale i w konsekwencji bez zaplecza rewolucjonizowanych mas. I na gromadzie spółdzielnie nie były (ściślej: były bardzo za mało) narzędziem walki klasowej i ośrodkiem skupienia się biedoty, wyzwolającej się spod autorytetu i panowania kulałów, działaczy-przedsiębiorców. Inicjowała ten ruch „Samopomoc Chłopska”, wywodząca się z N. P. Ch., ale obezwładniona przez rząd sanacyjny zostawiła nadal otwarte pole dla tradycyjnej spółdzielczości i dla działaczy, którzy chętnie mogli się powoływać na Słomków i Magrysiów i którzy tę szkołę kontynuowali.

„Jak tu więc można mówić mistycznie o „gromadzie” w ogóle, bez pamiętania w czyich była ryzach, jakiego działania społeczno — gospodarczego podporządkowywania i jakim autorytetem? Z dobrą wiarą roznożono przed wojną sławę Liskowa, Albigowej i Godzianowa. A pracowała nad uznaniem tego typu wsi „spółdzielczych” sanacja... Korespondent nazywa te spółdzielczości „żywiłową”. A żywiłowość

widzi w „całej gromadzie”. W jej sielankowej solidarności? Ta droga spółdzielczości rzeczywiście skończyła się z powstaniem Związku Samopomocy Chłopskiej. Skończyła się jako system, zadanie i cel. Ale nie mogła się jeszcze skończyć i nie skończyła w praktyce terenowej, przy istnieniu 40 tysięcy wsi w Polsce.

Korespondent przypisał starej spółdzielczości — „żywiłowości”, a nowej — „typowanie”. Pokazaliśmy, że bzdura jest nazywać żywiłową spółdzielczością tę tradycję, która wychodzi od Słomki i Magrysia, idzie przez patronaty, ziemiaństwa, zrosty małych i wielkich rolników w „Rolnikach”, przez akcje działaczy — przedsiębiorców, „Piastów” z każdej strony. Jej klasowy trzon i klasowa funkcja również ukazywały się.

P. P. R., a potem P. Z. P. R. i Str. Ludowe były i są politycznymi reprezentacjami drobnych i średnich chłopów. I „typowanie” to w terenie konkretny wybór, w założeniu, reprezentantów tych mas chłopskich, które były w walce klasowej z kulałkami i kapitalistycznym rozwojem wsi — były dawniej bite i ujarzmiane — dziś są zwycięskiej walce.

To, o czym pisze Korespondent — kumoterstwo, kacyki, biurokracja dla protekcyjki to wszystko postacie wroga klasowego, który się jeszcze widzi w naszej organizacji, w naszym punkcie spółdzielczego działania. A widzi się właśnie dzięki aureoli tradycyjnej spółdzielczości, i tradycyjnemu zaawansowaniu w opinii publicznej tego dawnych wzorcowych działaczy.

Korespondent kończy swój list niewiary w ważność i skuteczność Komitetów Członkowskich spółdzielni na gromadach. Ich rola — powiada — będzie bardzo znikomą. Kończy się na skarceniu sklepowej i na zmianie godzin „urzędowania” sklepu, to wszystko.

Oto do czego doprowadza wykluczenie politycznego, klasowego widzenia spółdzielczości. W przeszłości widział Korespondent „gromadę spontaniczną”. Mymy pokazyli organizatora i pana gromady w kulałkach i ich działaczach — przedsiębiorcach.

Na dziś Korespondent odbiera ducha tej części gromady, która stanowi drobno i średniorolnych, i daje o sobie znać w potężniejszej z dnia na dzień walce klasowej, ograniczając kulałki, likwidując spekulację i przeciwstawiając się temu frontowi własnymi zbiorowymi działaniami.

Masowe pismo „Gromada”, wali jak w bęben, głosami chłopskimi właśnie tej nowej, walczącej gromady w tradycyjnych działaczach — przedsiębiorcach, którzy kacykują i kumoterują w spółdzielczości. I to jest obraz walki. Obraz wstępującego ducha w biedniaków ich polapania się w fałszywych urokach tradycyjnego działania spółdzielczego, ich rozumu i odwagi.

W pierwszej z brzegu korespondencji, donoszącej o wyborach do Komitetów Członkowskich odczytuje ten sam obraz walki.

Oto stary 70-letni chłop, Hojda, z Kuźnie Wielkich, przeżył epokę spółdzielczości, „przetrawiał” ją i wcale nie ma dość. Właśnie teraz dopiero gada.

Zaczyna jeszcze wczorajszym językiem, jak stary chłop: „Mam tu taką skargę, albo zażalenie, że sklepy prywatne w naszej okolicy mają pełno wszystkiego, a w naszej spółdzielni jest towaru zawsze brak. Np. z tymi nawozami sztucznymi tak było, że spółdzielnia sprowadzała te, które nie były potrzebne ludziom, a te, o które my pisali — nie przysyłały.”

Te niepotrzebne psują się. Czy my na to jesteśmy członkami, żeby nas zmuszano do wykupywania towarów niepotrzebnych, co jest winą spółdzielni?”

Tu stary wprowadza nowy ton. „Dziś są wszyscy obywateli, a obywateli tak bajerować nie może spółdzielnia. Nie my dla niej, ale ona z nas i dla nas.”

O pszeniu my pisali do siania, tu już czas siewki, a pszenie jak nie widać, tak nie widać, więc nie jeden z nas musi iść na rynek kupić.

A my nie chcemy rynku ze zbożem, co od kulałów idzie. To tak spółdzielczość, co w gębę na kapitalizm, a w robocie na prywatny rynek nas wysyła?”

W Komitach Członkowskich można i trzeba widzieć organizowanie się siły klasowej małego i średniorolnych do kierownictwa i kontroli spółdzielczości.

Trzeba widzieć siłę zbierającą w sobie nowe wzory powszechnego dobrobytu chłopów, nowe wzory producentów spółdzielczych. I trzeba widzieć to wszystko w procesie walki. I nie pokpiwać zagadnienia, jak się to przydarzyło Korespondentowi z „ziemi Słomków, Kurasiów i Magrysiów”.

PIOTR CHMURA

MIKOŁAJ TICHONOW

MATKA

(z cyklu: Opowiadania leningradzkie)

— Chodźmy go odwiedzić! — powiedziała matka, i Ola wiedziała już, o kim mówi.

On — to syn, brat Oli — Boria, ochotnik. Powiedział, że idzie do wojska razem z kolegami z jego kursu. Matka stała przed nim, drobna, zastraszona.

— Masz krótki wzrok, zdrowie słabe — powiedziała matka. Nie boisz się?

— To nie, mam — odpowiadał Boria.

— Nigdy nie byłeś w wojsku, będzie ci trudno...

— To nie, mam — powiedział Boria, pakując plecak.

...Matka z Olą chodziły nieraz do tej wsi, gdzie Boria odbywał ćwiczenia wojskowe. Wracali z ćwiczeń podnieconie, zmęczeni, opaleni, pokrzyżowani, siadali i zaczęli się rozmowy o znajomych, o przyjaciół, o miłość. O wojnie nie rozmawiali, ponieważ wokół wszystko było pełne wojny.

Wędrowki do brata pod miasto wydawały się Oli letnimi wycieczkami, zwykłymi wycieczkami, do podmiejskich letniskowych miejscowości, dobrze jej znanych. Z zerwanym w polu kwiatami wracały pociągami elektrycznymi do miasta pełnego zgiełku i niepokoju wojennego.

Ale w ostatnich czasach wszystko się zmieniło. Front przechodził gdzieś blisko i Ola niepokoiła się, jak odnajdą brata dzisiaj, kiedy wszystko stało się niepodobne do tych niedziel, cichych i wakacyjnych, w które przyjeżdżały odwiedzić Borysa.

Szły polami jesienią pustymi. Wille stały zabite deskami, droga na spotkanie sunęły im wozy, samochozy, uchodzący z dziećmi, łotkami, plecakami. W rowie zabity koń podnosił do nieba drewniane nogi, szli żołnierze, brzęcząc manierkami, w pobliżu słychać było ogłuszającą kanonadę.

Odeszły już daleko od zgiełkliwej szosy.

Szły teraz znajomą drożką polną, ale wszystko tu było nie tak jak dawniej: polane płoty, brak ludzi, jakaś czujność i trwoga w powietrzu, oczekiwanie czegoś groźnego. W polu pod krzakami leżeli żołnierze Czerwonej Armii z karabinami maszynowymi, zamaskowani wiechami,

a kiedy weszli do pierwszej wsi, zastały zupełną pustkę. Nawet wróble nie kapaly się w kurzu drogi, nawet pies nie szczekał i nie przebiegał. Boria nie dymio się z kominów, lawki przed domami stały puste i jakieś wykrzywione. Taką była wieś tylko w biały noc przed świtem, kiedy wszystko śpi. Ale teraz nikt nie spał — to była pustynia.

Ola mężnie kroczyła w ciszy tej pustyni za matką, która szła drobnymi ale pewnymi krokami coraz dalej.

Druga wieś paliła się. Kiedy weszli na pagórek, przystanęli mimowoli. Rude grzywy ognia miały się nad dachami i nikt ich nie gasił. Kilka chat odrazu stało się kupką zwęglonych desek — i to było niezwykle widowisko.

Ola pociągnęła matkę za rękaw, ale powiedziała spokojnie: „Musimy uciec tam, do tego gaju” — i poszły dalej, między palącymi się domami. Kiedy już przeszły wieś i weszły do niewielkiego wawozu, rozległ się jakiś nasilający się gwiżdż. Zbliżał się tak natarczywie i nieodparcie, że aż uszy bolały.

Matka zatrzymała się i pochyliła głowę. Ola zrobiła to samo. Rozumiała, że robią nie to, co trzeba, że należy rzucić się na drogę twarzą do ziemi, ale przecie idą szukać Bori, a jeżeli będą padać przed każdym pociskiem, to nigdy nie dojdą i nie zobaczą go.

Pocisk wybuchnął za pagórkiem. Fontanna ziemi zwolna opadała z góry. Zaledwie osiadła, padł następny pocisk.

Dalej już biegi, potykając się, od krzaku do krzaku, do samego. Rozumiała, że wybuchły czarne kłęby, oświetlane czerwonymi błyskawicami. Ola drżała na całym ciele, usta jej wyschły, ale matka szła naprzód nie ubiegając i Ola nie odstępowała jej, z bezsensowną myślą: przede w nas nie trafia, nie powinni trafić, nie powinni...

Wsi, w której Boria odbywał ćwiczenia wojskowe, po prostu nie było. Zamiast niej sterczały czarne słupy i gdzieś niedaleko skupisko zwęglonych desek. Nawet drzewa były spalane albo wyrwane z korzeniami i leżały wśród ogromnych dołów, napelnionych mętłą, zielonkawą wodą.

— Mam — powiedziała Ola — dokąd teraz pójdziemy?

Matka stała w milczeniu. Oli zrobiło się żal matki, takiej drobnej, zmęczonej, upartej.

— Mam — powiedziała znowu. — Chodźmy do domu. Dokąd możemy jeszcze iść?

— Chodźmy jeszcze trochę na przód — powiedziała matka. — Tam może kogo zapytamy...

I poszły znowu. Widziały teraz wszędzie leżących w trawie i w rowach żołnierzy, patrzących w lewo. I nagle z niewielkiej łąki wyszło im na spotkanie trzech żołnierzy.

Matka podeszła do nich i zawołała radośnie do jednego z nich. Wysockiego i piegawatego:

— Jeżeli się nie mylę to Pawełek?

Żołnierz szeroko otworzył oczy w zdumieniu, przez chwilę przyglądał się uważnie drobnej kobiecie, stojącej przed nim, i powiedział:

— Matka Bori — prawda?

— Tak, — powiedziała — chcę się z nim zobaczyć. Jak go odnaleźć?

— Jak go odnaleźć? — powtórzył trochę zmieszany Pawełek. Idźcie prosto, tak, jakście szły, na ten ot pagórek, ale lepiej byłoby nie chodzić...

Znaleźć go będzie trudno, a poza tym... — uśmiechnął się nagle — przecież tu naokoło bitwa, jesteśmy prawie okrążeni, a wy tu spacerujecie...

— My nie spacerujemy — powiedziała matka — ja muszę dotrzeć do Bori... Muszę...

W głosie jej było tyle żaru i głębi, że Pawełek — kolega Bori z Instytutu i batalionu — powiedział tylko:

— No, to idźcie...

...Matka siedziała w wysokiej trawie przytuliwszy się do belkowanej ściany łąki. Ola — obok niej, wstrzymując oddech. Żołnierz pokazywał w dół na błotnistą podługną polanę, porośłą krzakami, wśród których polyskiwały miejscami zakryte strumienia. Polana ciągnęła się aż do lasu, za którym, na pagórku, widać było wieś. Nad całą miejscowością przewalał się ogłuszający huk. Bateria radziecka biła skądś z tyłu, wzdłuż wsi, a niemieckie armaty trzymały pod ostrzałem polanę i pagórek, na którym siedziała matka i Ola.

— Dopiero co poszli do ataku — mówił żołnierz. Jak chcecie, czekajcie albo nie. Poszli, o tam. Do ataku...

— Znać Bori? — zapytała matka.

— A jakże, znam. On także tam jest...

— A jak on strzela?

— Strzela, jak się należy...

— I nie tchórz?

Żołnierz, były student, wzruszył ramionami obrazem.

— Gdyby tchórz, nie byłby w naszej kompanii...

Zamilkli oboje. Patrzyli milcząc, jak płonie wieś na wzgórzu.

Z lasu dolatywał zgiełk głosów, krzyzących „hurra” czy coś w tym rodzaju — nie można było zrozumieć słów. Las, oświetlony zarzewiem pożaru, wydawał się krwawy.

Matka wstała i podeszła do brzozy pagórka. Patrzyła tak, jakby chciała zobaczyć swego syna, odnaleźć go w gąszczu lasu, rozrywanego bitwą, ujrzyć go z bagnietem w ręku, biegnącego do tej płonącej wsi.

Stała tak długo.

Potem powiedziała do Oli:

— Chodźmy — i nie oglądając się, zaczęła schodzić ścieżką na drogę.

— Nie czekacie już? krzyknął za nią żołnierz.

— Nie, — powiedziała. — Dziękuję wam. Idziemy, Ola.

Wyszły już na drogę.

Ola — powiedziała matka. — Zmęczona jesteś, kochanie...

— Nie, mam, boję się, czy dojdziemy. Zrobiłam się jakoś tchórzliwa...

Matka uśmiechnęła się swymi wąskimi wargami.

— Nie nam nie będzie, Ola — powiedziała po chwili milczenia. Teraz jestem spokojna. Serce moje jest spokojne. Bałam się, że on nie będzie mógł walczyć — że jest słaby, że widzi. Chciałam sprawdzić. Sprawdziłam. Mój syn walczy tak, jak wszyscy. Niczego więcej nie chcę. Idziemy do domu.

I poszły szybkimi, drobnymi krokami — mała, lekka, wyprostowana... (Tłumaczyła z rosyjskiego Hanna Pieczarkowska).

ANTONI KOPEC

PRZODOWNICTWO W ROLNICTWIE



Mazur Stanisław

W lipcu br. w dzień Święta Niepodległości, średniorolny chłop, Mazur Stanisław ze wsi Podolin, pow. Wągrowiecki, otrzymał depezę, nadaną przez Kancelarię Cywilną Prezydenta RP. z wiadomością o nadaniu mu najwyższego odznaczenia, mianowicie tytułu i orderu „Budowniczości Polski Ludowej”. Jest to fakt doniosłej treści: nagrodzona bowiem została zasługa, która więcej mówi nam o przemianach zachodzących na wsi, niż długie przybirki elaboraty. O coż tu chodzi?

Mazur gospodaruje dziś na 8 ha ziemi. Kolejne jego życia — to dość osobliwa historia, a zarazem frapująca przykładem z dziejów proletariatu — jest masy chłopskiej, powiązanej losem z klasą robotniczą. Ojciec Stanisława, szwajcar dworski, porzucił służbę u pana, by przenieść się na pracę do nowo powstałej kopalni gipsu i soli w Wąpnie. Idąc śladem ojca, syn przepracował tam lat 25. Te 25 lat, to nie tylko ciężki trud, to zarazem twarda szkoła. Jeżeli bezrobocie — rozumował Mazur — lub kaleczeństwo wyrzuciło robotnika za bramy, staje się on od razu nędzarzem. A więc — skrupulatna oszczędność! Owszem, ale wolał lat 1914 — 18 sprzątnąć gorki z ciuchami. A więc — ziemia. Tak, ziemia jedna — liczył Mazur — wytrzyma burzę społeczne i wojny.

Nadarzyła się sposobność i górnik Mazur Stanisław nabył działkę w parcelowym Podolinie. Spłacał dług i po trochu inwestował, lecz i kryzys agrarny i ogólne ówczesne położenie ekonomiczne wsi nie pozwalały traktować działki, jako warsztatu pracy, który by coś obcywał, chyba... na wypadek bezrobocia lub innego niebezpieczeństwa. I tak działka Mazura, będąc przedmiotem przezornej rezerwy,

pozostawała właściwie bez gospodarki.

W r. 1945 przewidziany na spadkobiercę starszy syn Stanisława idzie do wojska. Mimo pięćdziesiątki, ojciec zdobył się na śmiałą decyzję: podjął się sam roli gospodarza. Punktem wyjścia dla niego było to, że w nowej ludowej władzy widział nie tylko triumf walk klasy robotniczej, ale i wcielenie chłopskich tęsknot. I nie omylił się.

Działka włączona w wielkie niemieckie gospodarstwo uciepiała wiele za czasów okupacji. Nie brakło jednak gospodarzowi odwagi i ochoty. I tak dla Mazura rozpoczęły się nowe lata, które miały mu przynieść niebawmy sukces i uczynić imię jego sławnym. W roku bowiem 1948 na obszarze całej swojej plantacji zbierał 568 q. buraka cukrowego z jednego ha. Jest to osiągnięcie, które pobija i dystansuje daleko nie tylko polski, ale i wiele zagranicznych rekordów, a przykład Mazura jest tym bardziej doniosły i zachęcający, że rekord ów został wypracowany na glebie IV klasy.

Otóż tu, w tym rekordzie leży sedno wielkiej sprawy. W ciągu 4-ch niespełna, b. ciężkich lat po wojnie działka ze skrajnej rezerwy życiowej awansowała na niezmiernie ciekawe pole doświadczalne. Gdyby przykład nieboszczyka sanacja mogła na chwilę wychylić głowę z grobu, to ta jedna cyfra przyprawiłaby ją o rumieniec wstydu.

St. Mazur jest plantatorem osobliwego rodzaju. Praca w zakładzie przemysłowym wykształciła w nim społeczne i organizacyjne cechy. To jest chłop o psychicznie robotnika, w której tętno rewolucyjnej myśli bije swobodnie, niż u indywidualnego właściciela, zakorzenionego na swojej parceli, choćby to miało być karłowate gospodarstwo wiejskie. I stąd właśnie ta zadziwiająca jasność koncepcji.

— Burak jest wdzięczny plantatorowi za pracę — powiada w niekłamnym uniesieniu Mazur.

Tu wystarczy chwilę śledzić z ołówkiem w ręku bieg myśli naszego rekordzisty, by przekonać się, ile wiedzy leży u podstaw jego rozumowań i doświadczeń. Pole o powierzchni 1 ha może dać 30 q. plonu pszenicy. Gospodarz przy tym poziomie wydajności potrafi łatwo z drugiego ha zbierać 400 q. buraka cukrowego. I oto zestawienie: 30 razy po 3200. — zł. — to niespełna 100 tys. zł., a 400 razy po 666. — zł. (wartość 37 kg. cukru, które plantator otrzymuje z cukrowca za każdy q. dostarczonego buraka) czyni ponad czterech milionów. Różnica dość znaczna, by mogła poruszyć najbardziej oporną i nieruchliwą wyobraźnię. Tu właśnie jest początek

przewrotu, który zainicjował St. Mazur w Podolinie.

Nie koniec na tym. Burak cukrowy daje nać. Gospodarz racjonalnie nacią i wytłokami mokrymi i suchymi przy takim zbiorze, plantator jest w stanie stworzyć poważną bazę karmową nie tylko dla bydła, ale i dla trzody chlewnej. Co więcej. Przestrzegając ściśle czystości i skrupulatnie konserwując nać buraczaną Mazur doszedł do przekonania, że nać buraczana i wytłoki z pełnym powodzeniem zastępują burak pastewny. Jakże to ma znaczenie dla ogólnej kalkulacji? Po prostu swoją praktyką obala on ustalony u nas zwyczaj siania tyle co najmniej buraków pastewnych, co cukrowych. Stąd idąc za wzorem swego przodownika, gospodarz w Podolinie nie siał już buraków pastewnych! Podważają za to przestrzeń posiewu buraka cukrowego. Podwójna ilość naci cukrowej i wytłoków, zwłaszcza przy wysokim zbiorze z nadwyżką wyrównuje ubytek karmowy, obliczony na burak pastewny. A nadto podwojenie obszaru plantacji buraka cukrowego o hektar daje gospodarzowi nowe czterdzieści milionów.

Burak jest wdzięczny za pracę. Dajmy tu jeszcze opinię Mazura: burak spulchnia, oczyszcza i uszlachetnia glebę. Daje dobre stanowisko pod pszenicę jark, podczas gdy np. pszenica daje co najwyżej pod żyto. Czy trzeba coś więcej powtarzać za Mazurem na pochwałę buraka?

Wszystkie te nauki i doświadczenia stały się własnością gromady Podolina. Utwierdzonej w opinii, niemal przyswojonej konserwatywni chłopów, przyniósł tu jak bańka mydlana. Wiesz podwoiła plony na plantacjach. Dzięki inicjatywie Mazura wieś od pierwszych lat po wojnie posiada elektryczność. Ludzie nie tylko świecą, ale młócą, rzną sieczkę i ciągną wodę przy pomocy elektryczności. Wdzięczna swemu przodownikowi gromada wybrała go sołtysiem. Nie bez zasługi osobistej Mazura, Podolin nie tylko słyne z wysokich plonów buraka i dobrego sposobu gospodarowania, ale jest wzorem w powiecie pod względem wypełniania obowiązków wobec Państwa, ofiarności społecznej i pracy w organizacjach spółdzielczych.

Sukces Mazura świadczy o szybkim pochodzie nauki na wieś. Świadczy też o nadzwyczaj korzystnej sytuacji ekonomicznej producenta wiejskiego w Polsce Ludowej. Wystarczy śmiałość i inicjatywa, jaką w naszym przykładzie okazał Mazur, by pola okryły się plonem nadspodziewanie bogatym. Trzeba tu powiedzieć o rzeczy najważniejszej — o pełnym zaufaniu średniego a tym bardziej biednego chłopca do bliższej mu władzy ludowej, o całkowitym akcep-

towaniu przez niego polityki gospodarczej państwa, czego przykład Podolina jest najwspanialszym świadectwem. Oczywiście sukces Mazura nie jest przypadkiem, ani działaniem tajemnych mocy. Jest to owoc uczciwej konsekwentnej i wytrwałej pracy, a więc po pierwsze — lektura i nauka, a w następnej kolejności — praktyczne zastosowanie nauki przy pomocy tych środków, jakie do rozporządzenia daje rolnikowi państwo.

Tu bez obawy popadania w przesadę należałoby podkreślić wagę prac na polach konkursowych. Poletko — to generalna próba. To zarazem najpełniejsza forma współzawodnictwa na wsi w nauce i pracy. Związek Plantatorów daje tu chłopu do rąk niezawodną broń. W r. 1947 w Podolinie obok St. Mazura do konkursu stanęło 5 postępowych gospodarzy. Wszyscy oni osiągnęli tam ponad 500 q. zbioru buraka w przeliczeniu na 1 ha. Mazur osiągnął ponad 700 q. Bólytyścinę urodzaj buraka stał się dzisiaj normą dla tych ludzi. Niższy zbiór uważałby ich za godności. Jest więc rzeczą „niezmiernie interesującą, jak się dalej potoczą sprawy w Podolinie.

Burak jest wdzięczny za pracę. Ale nie chodzi tu tylko o burak. Tu chodzi o kalkulację, o rachunek i doświadczenia, które łamią rutynę, kruszą stare pojęcia i rewolucjonizują świadomość. To jest naprawdę nowa rzeczywistość. Nie to co wczoraj, a co ma być jutro. Podwoić, potroić urodzaj. Robota ta sama, a dochód podwójny.

Oczywiście wychwalany pod niebo burak ma też swoje „ale”. Wymaga pracy. Prawdziwy to Moloch. Plantator zmuszony jest obejrzeć się za maszyną, plantator typu Mazura nie mówi o braku ludzi do pomocy, a że... trudno o maszynę.

Maszyna to oddzielne i ciekawe zagadnienie. Można jednak odpowiedzieć tu naszemu, szanownemu rekordziste, że „Ursus”, który dawał w 1945 r. trzy traktory na miesiąc — dziś daje tyle, że zaczyna pokrywać wzrost zapotrzebowania rynku. Dziś chłop średnio i drobnorolny stawia przemyślowi swoje zapotrzebowanie.

Wynika z powyższego następujący wniosek: burak i związana z jego hodowlą kalkulacja nie daje ustać na miejscu, plantatorowi potrzebna jest koniecznie maszyna, ale kumoterstwo nie puszcza jej na pole. Można wszakże mieć nadzieję, że podolanie szybko przełamie kumoterskie zwyczaje. Kalkulacja obali te rzeczy, które im postarzą się o ośrodek maszynowy, które im pomysłom o formie zespołowej gospodarki, gdzie większa wydajność będzie już honorem nie tylko jednostek, ale całej gromady.

Antoni Kopec.

LUCJAN WOLANOWSKI

»W KRAJNIE CZARÓW«

Nie ulega kwestii, że John Guenther jest obecnie jednym z najbardziej znanych amerykańskich dziennikarzy. Sława jego opiera się zwłaszcza na zbiorze reportaży, zatytułowanych „Inside USA”. Było do przewidzenia, że i z niedawnej podróży po Europie, przywiezie wrażenia godne uwagi. Nie trzeba chyba dodawać, że Guenthera nikt nie „posadza” nawet o sympatie dla lewicy. Niemniej jednak, dostrzegł on i zanotował fakty, które mają swą własną wymowę.

Do najciekawszych reportaży, zaliczają się bezwzględnie te, które nadesłał z Grecji. Oczywiście, amerykański dziennikarz obserwował wydarzenia greckie z tej samej strony barykady, co jego rząd — to znaczy z perspektywy luksusowych hoteli ateńskich, które zarekwirowano dla „sprzymierzeńców” z tamtej strony oceanu.

„Niech nikt nie pisze lekko o Grecji” — zaczyna swe wywody Amerykanin. „Panując tam sytuacja jest jedną z najbardziej tragicznych i bolesnych na całym świecie. To, czego świadkami jesteśmy dziś w Grecji, jest prawdziwą wojną, jakkolwiek walki mają charakter dorywczy a straty są stosunkowo niewielkie. Najgorsze jest jednak to, że wojna domowa jest najbardziej niszczycielską ze wszystkich wojen. Poza tym, nie jest to tylko grecka ale amerykańska wojna; tylko Amerykanie umożliwili jej prowadzenie. Ateny są zupełnie jak Anglikańska (raczej amerykańska) cytańdel i ani grecka armia ani rząd nie wytrzymałyby dziesięciu dni bez pomocy — konkretnie mówiąc bez wojkowej pomocy — ze Stanów Zjednoczonych”.

Po tym wstępie, Guenther rozwija dalej — nie bez dumy — swą — jakże słuszną tezę — o prawdziwej roli swego kraju w dalekiej, górzystej Grecji. „Z jednej strony, oficjerowie amerykańscy, przebijający stale na miejscu sprawują faktyczne dowództwo nad grecką armią. Z drugiej strony, ostateczna decyzja w zasadniczych sprawach politycznych leży tak samo — o ile nawet nie bardziej — w rękach Amerykańskiego Kongresu w Waszyngtonie niż greckiego parlamentu w Atenach”.

Dziennikarz amerykański podaje dalej, że postanowił wybrać się w podróż samochodową z Aten do Delphi. Rzecz jasna, że nie zabrał sobie nawet głowy jakimiś lokalnymi władzami greckimi, ale poszedł prosto do swych ziemiozłó, których słusznie traktuje jako rzeczywistych władców kraju. W AMAG-u („American Mission for Aid to Greece” czyli „Amerykańska Misja Pomocy Grecji”) przywitał go młody sierżant amerykański, który usłysawszy o zamiarach dziennikarza, potrząsnął niechętnie głową, oświadczając, iż wspomnianą drogą jest w dwóch trzecich pod kontrolą partyzantów. Podaje również, że między Atenami a Salonikami, istnieje obecnie połączenie tylko morzem lub drogą powietrzną. Jest to — używa porównania Amerykanin — jakgdyby w Anglii nie było połączenia kolejowego lub drogowego między Londynem a Liverpooliem.

Wobec tych „trudności” dziennikarz postanowił zrezygnować z zamierzonych podróży w głąb kraju i ograniczył się do znacznie dlań bezpieczniejszego pobytu w Atenach. Nie czuł się tam osamotniony. „Hotel Grante Bretagne” — najbardziej wytworny w Atenach, jest wypełniony po brzozy amerykańskimi oficerami. Jest ich obecnie w Grecji pod dowództwem Van Fleeta około 340. Jest to oczywiście znacznie więcej niż obsada

zwykłej misji szkoleniowej. Pracują oni w ścisłym związku z samym sztabem generalnym. Jeżeli grecki oficer — nawet najbardziej wysoki rangą — im się nie podoba, to musi odejść”.

Po tym zupełnie jasnym i niedwuznacznym sformułowaniu, które najlepiej świadczy o praktycznym wydaniu europejskim doktryny Monroego, dziennikarz spieszy z zapewnieniem swych czytelników, że również i w dziedzinie gospodarki cywilnej, Grecja jest „należycie obstarowana” przez funkcjonariuszy amerykańskich. „Trzymamy w cuglach całą grecką gospodarkę. Weźmy tu tylko jeden przykład: Amerykanie kontrolują całkowicie przydział obcych dewiz w Grecji; nie może być zakupione zagranicą bez pozwolenia. Sprawujemy władzę nad wszystkim — począwszy od małej fabryczki ceramicznej a skończywszy na bankach. Sam budżet państwowy jest pod ścisłą kontrolą Stanów Zjednoczonych a nasz personel korzysta z eksterytoralnej nietykalności. W rezultacie, amerykańscy urzędnicy w Atenach są sami dla siebie prawem”.

John Guenther stwierdza ogólną niedzę w Grecji, ale nadmieniam, że „są pewne środowiska, które posiadają pieniądze”. Dalej precyzuje wyrażenie, o jakie to środowiska chodzi, kiedy pisze że jedna tylko z gazet ateńskich zapłaciła zaawrtano sumę 50 tysięcy dolarów za prawo przedruku pamfletów Churchilla — na to jakos Amerykanie przyznali drogocenne dewizy. Jak wielka suma ta jest na stosunki greckie wynika z dalszych wywodów, w których Guenther stwierdza, że robotnik włókienniczy zarabia dziennie 60 centów. Ale oddajmy głos dziennikarzowi: „Grecja jest krajem nadzwyczaj kosztownym jeśli chodzi o żywność i artykuły konsumcyjne. Koszt utrzymania stale wzrasta. Ludzie po prostu nie mogą się utrzymać za swe płace. To właśnie, bardziej niż jakakolwiek propaganda, skłania ludzi ku komunizmowi”.

„Rząd ma do dyspozycji przynajmniej cztery rodzaje policji, która śledzi bacznie wszelką działalność wywrotową: policję regularną, podlegającą II oddziałowi armii, policję wojskową, powszechną służbę bezpieczeństwa i jeszcze czwartą grupę, znaną pod nazwą „specjalnej” policji bezpieczeństwa”.

„Każdy, który popełnia przestępstwo określone jako „szkodliwe dla społeczeństwa”, może być zaaresztowany. Tylko groźba więzienia sprawia, że władze mogą utrzymać dyscyplinę”.

Mógłbym dalej jeszcze cytować „piękny” obraz greckiej rzeczywistości, roztoczony przed czytelnikiem przez amerykańskiego dziennikarza. Ale już chyba tych kilka fragmentów, wystarczy, aby oddać atmosferę panującą obecnie w słonecznej Helladzie. Bóstwa Olimpu ustąpiły miejsca bóstwom Waszyngtonu, które sprawują władzę w imię złotego ciela, zwałując z zapalem tęsknotę Greków do prawdziwej wolności i postępu. Jednakże doświadczenia ostatniej wojny wykazały, że mimo najstraszliwych przesładowań ze strony faszyzmu włoskiego i hitlerizmu niemieckiego, naród grecki nie zalał się i prowadził walkę aż do całkowitego wypędzenia okupanta. Cały świat, cała postępową ludzką wiarę niechbie, że i z tej obecnej okupacji, Grecja wyjdzie zwycięska, że lud zwycięży. Z faktów, zaobserwowanych przez siebie w greckiej „Krajinie Czarów”, John Guenther nie wyłącza konsekwencji — ale uczyni to historia.

LUCJAN WOLANOWSKI

KRYSZYNA WÓJCICKA

DZIEJE JEDNEGO KOŁCHOZU

Droga historyczna kolchozów Związku Radzieckiego i doświadczenia kolchoźników sowieckich posiadają olbrzymią wartość poznawczą dla czytelnika polskiego. Podsumowanie tych doświadczeń na terenie Ukrainy stanowi niedawno opublikowana książka F. Dubkowieckiego pt. „Na drogach do komunizmu”, opatrzona podtytułem „Notatki pioniera ruchu kolchozowego Ukrainy”. Autorem książki jest chłop — biedniak, broniący niegdyś w służbie sowieckiej w wojnie domowej, później przewodniczący kolchozu, delegat do Najwyższej Rady ZSRR, członek Rady do spraw kolchozów przy Radzie Ministrów ZSRR, przedstawiciel inteligencji kolchoźniczej, działacz partyjny. Dubkowiecki ukazał w swej książce dzieje najstarszego kolchozu ukraińskiego „Zdobyc Października”. Powstał w ten sposób szeroki obraz życia milionów radzieckich wieśniaków trudną lecz radosną drogą ku komunizmowi.

Książka Dubkowieckiego stanowi wierny dokument przemian, jakim ulegał naród, w którym umacniały się idee kolektywizmu i pracy socjalistycznej, idee bolszewizmu.

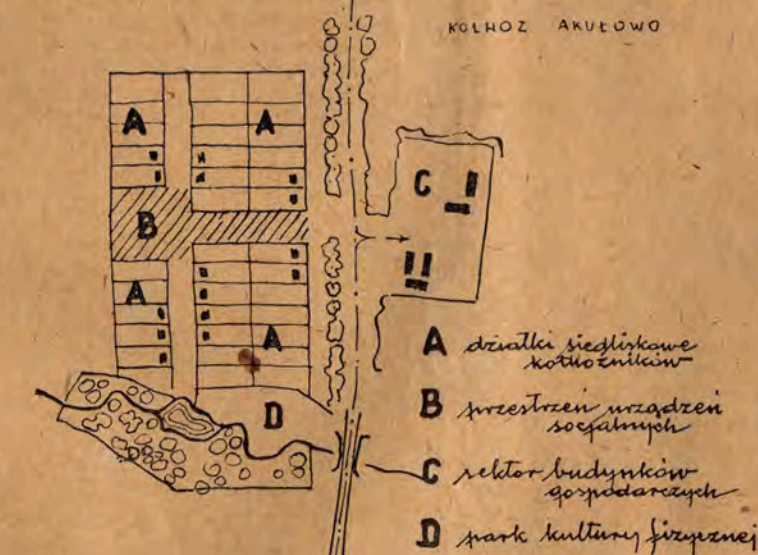
Wiosną 1922 roku biedniacy ukraińskiego osiedla Talnoje otrzymali ziemię. Staneli jednak wobec niej bezzadnie. Nie było jak, nie było czym na niej pracować. Brakowało pługów i koni. Biedniacy musieli prosić o pomoc kulaków, którzy wyzyskiwali bez miłosierdzia. Myśl o społecznej uprawie ziemi nie opuszczała Dubkowieckiego i jego towarzyszy. Zdawali oni sobie sprawę z tego, że życie w starych warunkach jest nie do zniesienia,

że trzeba wprowadzić radykalne zmiany. Wtedy przyszedł z pomocą Lenin. Ukazał on chłopom — biedniakom możliwość wydobycia się z nędzy. W licznych artykułach Lenin rozwijał swoją teorię przejścia chłopstwa na kolektywne metody pracy. Leninowski plan kooperowania drobnych gospodarstw chłopich otwierał wsi drogę do komunizmu. Artykuły Lenina umacniały w słusznych przekonaniach Dubkowieckiego i jego towarzyszy. 7 listopada 1922 r. biedniacy Talnoje ogłosili stworzenie artelu rolnego pod nazwą „Ul i pszczoła”.

Trwały jednak jeszcze pozostałości kapitalizmu wiejskiego. Średniacy chwilieli się, nie zajmowali zdecydowanego stanowiska. Do artelu przenikały elementy kulackie, usiłujące drogą dywersji zniszczyć przedmiot wysiłków biedniaków.

Dubkowiecki pisze: „My, pionierzy gospodarki kolchozowej na Ukrainie, posiadaliśmy ważne zalety: ogromne pragnienie pracy i życia „po nowemu”, wiarę w słuszność naszej sprawy, przekonanie, że pomoże nam władza sowiecka”.

Partia bolszewików nie zapominała o pionierach ruchu kolchozowego. W najtrudniejszych momentach, gdy artel opuściło już kilka rodzin, przybyli do Talnoje młodzi komсомольcy, pełni entuzjazmu i zapału, doskonale rozumiejący wartość pracy kolektywnej. Artel — wbrew późnym życzeniom kulaków — nie zamarał. Przeciwnie — krepnął w walce i rozrastał się. W r. 1924 w wyniku dobrego urodzaju artel uzyskał sukces. Pierwszym traktorzystą był F. Dubkowiecki, przewodniczący artelu i jego organizator.



Biedniacy ciągnęli do artelu. Wiosną 1929 roku należało do niego 35 rodzin. Artel przemianowano na „Zdobyc Października”.

Nadszedł wreszcie rok 1929-30 — rok gigantycznego przewrotu w rozwoju radzieckiej gospodarki rolnej. Średniacy zaczęli masowo przechodzić do kolchozów. W tym okresie olbrzymią rolę pomocniczą — wzorów i przewodników — odegrały wcześniej stworzone kolchozy. „Zdobyc Października” stała się miejscem pielgrzymek biedniaków i średniaków okolicy, którzy pragnęli przypatrzyć się gospodarce kolektywnej. Kolchoz Talnoje w pełni wywiązał się z zaszczętego obowiązku agitatora nowego socjalistycznego życia. „Wiosną 1930 roku — pisze Dubkowiecki — na pola Talnojewskiego okręgu wyszło trzydzieści traktorów i tysiące kolchoźniczych zaprzęgów, zaorywały one na wielki miód, rozgraniczając chłopie działki”.

Dubkowiecki w swojej surowej i dokumentarnej książce przekazał liczne portrety ludzi — bohaterów nowej wsi radzieckiej.

W Talnoje wprowadzono nowe metody pracy, zwiększono urodzaje. W artelu powstały: szkoła, klub z własnymi urządzeniami kinowymi, punkt medyczny, sklep kooperatywy.

Dubkowiecki pisze: „Społeczne gospodarstwo „Zdobyc Października” w przeddzień wojny zadowalało kolchoźników w pełni. Nie chcieli oni już kłopotać się ze swoimi winami i drobiem. Każdy z nich, oprócz produktów, które rozdzielano według przepracowanych

dni, mógł wziąć z kolchozu, na rachunek zarobionych pieniędzy, tłuszcz, mięso, kielbasę, masło, mleko, wino”.

Ale twórcy trud kolchoźników Talnoje został przerwany przez niemieckich najazdźców. Niemcy rozgrabili i zniszczyli kolchoz. Po wojnie trzeba było zaczynać od nowa.

Autorem opowiada o niewyczerpanej bojowości i ideaowości ludzi radzieckich, którym przewodniczą komсомольcy i komсомольki. Kolchoźnicy Talnoje postanowili nie tylko przywrócić artelowi jego dawną dobrą sławę, ale także przekroczyć w zbiorach zboża lata przedwojenne.

Na ostatnich stronach swej książki Dubkowiecki ukazał nowy, wspaniały wysiłek kolchoźników radzieckich.

Pierwszym punktem powojennej pieśni Talnoje było założenie elektrowni. Na tym jednak nie wycofują się ambitne plany kolchoźników. Zaprojektowano także rozszerzenie ziemi ornej pod zasiewy, założenie nowego klubu, zwiększenie stanu pogłowia bydła itp.

Realizacja pieśni Talnoje posuwa się szybko. Jesienią 1947 kolchoz obchodził 25-lecie swego istnienia i zarazem święcił uroczystość zakończenia budowy elektrowni. Już w r. 1947 kolchoźnicy Talnoje osiągnęli w zbiorach zboża poziom przedwojenny (mimo posuchy).

„Zdobyc Października” kroczy szybko zwycięską drogą ku komunizmowi.

KRYSZYNA WÓJCICKA



JAN JELONEK

Wzywamy pisarzy

Związek Samopomocy Chłopskiej jako zawodowa organizacja drobnych i średnich rolników, zobowiązany jest do opiekowania się również akcją kulturalną. W ramy dołączycielowej akcji kulturalno-światowej można i trzeba wpisać sprawę kontaktu pisarzy ze wsią.

Kontakt pisarzy ze wsią spowoduje wzmocnienie czytelnictwa dzieł tych pisarzy i zwiększy ich nakład. Przez wzbudzenie czytelnictwa wzrasta zamówienie do księzek i do posiadania ich na własność a co za tym idzie, wiąże się to zyskiem ze zwiększonym obrotem księzek w ogóle.

Związek Literatów rozsyłając swych członków po terenie wiejskim wysłuchiwałby podwójną przysługę. Jedną, że daby literatom możliwość wyjazdu się w gromady wiejskich słuchaczy i możliwość zdobycia tematów do nowych prac; drugą, że ułatwiby wyławianie ze wsi talentów pisarskich, jeszcze dzisiaj głęboko ukrytych z powodu braku kontaktu ze światem kulturalnym.

Miejscowe organizacje społeczne, polityczne i młodzieżowe ogromnie by zyskały w oczach opinii publicznej, gdyby dołądziły do organizacji takiej wieczerz literackiej i daly miłą atrakcję w długie zimowe wieczory. Młodzież wiejska szczególnie miłaby możliwość bezpośredniego zetknięcia się ze swoimi ulubionymi autorami i omówienia z nimi wielu palących ją zagadnień.

Jak widzimy, aż cztery instytucje powinny być zainteresowane w tym upragnionym przez wieś kontakcie pisarzy z ludem. Trzeba tylko odrobinę dobrej woli by utworzyć ścisły komitet współpracy między Z. S. Ch. jako organizatorem a Związkiem Literatów jako dyspozytorem sił oraz z wydawcami jako czynnikami finansowym i już w obecnym okresie zimowym można akcję rozpocząć. Wieś rów-

niez powinna badać w części partytucypować w kosztach tych imprez. Chociaż przez dowieszenie gości z dworca do wsi, ugoszczenie i przenocowanie.

Trzeba by jednak przed rozpoczęciem takiej na szeroką skalę zakrojonej akcji, opracować szczegółowy kalendarz wyjazdów i podać go do wiadomości zarówno organizatorom wiejskim jak i nauczycielom działającym na wsiach. Chodzi o przygotowanie ludności wiejskiej do tej sprawy. Nauczycielstwo powinno mieć trochę czasu na omówienie na świetlicach życia i twórczości przybywającego pisarza, aby mu niejako przygotować „atmosferę” przyjaźni i wzajemnego zaufania. Gminne spółdzielnie powinny mieć trochę czasu na sprządzenie do kolportażu najcenniejszych i dla wsi aktualnych prac autora, aby rozprzestrzenić je po terenie wiejskim. Młodzież również musi mieć trochę czasu na zapoznanie się z dziełami pisarza, aby móc go zrozumieć i z nim porozmawiać.

Abym wszystko udało się na 100 procent i dobrze grało, trzeba, poza załatwieniem sprawy materialnej od której wydawcy na pewno się nie uchyla, sprężystej i konsekwentnej organizacji ze strony Z. S. Ch. i Związku Literatów, aby przykładem nie zrobić wsi zawodu.

Redakcje pism rolniczych, literackich i innych, działających na terenie wiejskim, powinnyby współpracować z tą całą akcją w formie informacji i opisów z udanych już imprez i udzielania wskazówek gromadom, mającym dopiero na widoku taką imprezę. Działacze i inteligencja wiejska danej gromady czy gminy winna wspólnie omówić i przygotować program całego wieczoru, aby nadać zebraniu możliwie najbardziej koleżeńską i miłą atmosferę czy nastrój.

Porabka, dnia 2 października 1949 roku.

JAN JELONEK

MACIEJ KOLIBA

ECHA NA RUDNO MAŁE

(Dyskutujemy problem czytelnictwa na wsi)

W związku z reportażem Józefa Bienka: „Książka w walce klasowej” („Wies”, nr 41) otrzymaliśmy kilka listów z terenu, w których nasi korespondenci wysuwają zastrzeżenia, czy Bienek istotnie klasowo ujął problem czytelnictwa we wsi Rudno Małe. Listy pochodzą od chłopskich działaczy, nauczycieli, kierowników świetlic i młodzieży zetemowskiej. Materiał w nich zawarty można rozgrupować według kilku punktów, rozstrzygających o 1) wartości metody poznawczej przy badaniu czytelnictwa na wsi, jak i 2) znaczeniu mobilizacyjnym samego reportażu jako potrzebnego i celnego przy rejestrowaniu dzisiejszych przemian gospodarczych, społecznych i kulturalnych — gatunku literackiego. Sprawa jest ważna, zwłaszcza dla pisarzy zajmujących się problematyką wsi, ponieważ jest to odcinek naszego życia, wymagający specjalnie czulego sumienia klasowego.

Przedyskutowanie tej sprawy uważamy za pilne chociażby dlatego, że redakcja „Wiś” ogłosi w najbliższym numerze „Konkurs na reportaż”, który specyfikując zagadnienia ma dostarczyć tematyczny materiał poznawczy z zakresu wszystkich spraw, którymi żyje dzisiejsza wieś.

Dla dopracowania się metody reportażu, klasowo ujmującego rzeczywistość wsi, rozpoczniemy dyskusję od wysunięcia zastrzeżeń oponentów Józefa Bienka.

Chłopskiego działacza ze wsi łowickiej — PZPR-owca dziwi bardzo wadliwe jego zdaniem „ustawienie” przez Bienka przodujących działaczy w Rudnie Małym — kierownika biblioteki, Smykały i sołtysa ob. K.

Łączy tych dwóch ludzi pochodzenie — obaj wywodzą się ze środowiska służby folwarcznej, łączy ich jednakowy dziś gust czytelniczy — uwielbienie dla Sienkiewicza i przemiłczana ale od czasu do czasu wzbuchająca niechęć dla Pogana, Gałaja i Mortona. Korespondentowi z wsi łowickiej wydaje się, że Bienek popełnił tu zasadniczy błąd, polegający na tym, że dla niego pozycja społeczna ob. K. — dwukrotna rowca z nadzoru Reformy Rolnej musi dawać w wyniku i poprawną świadomość klasową. Bienek zapomina tu o tym, że tęsknota do kultury kierownika Smykały, syna kowala dworskiego i sołtysa, też ze służby folwarcznej, wychowanego przez pierwszego na „lubieli” książek — była zaspakajana właśnie przez literaturę, z pozycji burżuazyjnych ujmującą rzeczywistość. Smykała w tym się widać nie rozniża, a i Bienek nie bardzo chce mu dzisiaj tę sprawę wyjaśnić.

Cytujemy fragment z listu pierwszego korespondenta:

„Bienek powtarza za rudniańskimi chłopami, że „Wasilewska,

Kruczkowski i Kowalski zdobywają jednogłośnie pełne uznanie za to, że trzecią ich powieści stały się powieści masowe ludowe, o których mówi się tam nie po sieniawickowsku: czerni, motłoch i pospólstwo, ale z szacunkiem i miłością”. A przecież „uwielbiają Sienkiewicza”. W tym przoduje wielce uświadomiony i uświadomiony (według Bienka) sołtys. Otrzymał on dwa hektary ziemi z dworskiego majątku i według Bienka — „ma zabezpieczony byt i o chleb jest już spokojny”. Uwielbia Sienkiewicza i żąda, by pisarze, ukazując wieś, tak przedstawiali wszystkich chłopów (więc zarówno bogaczy i biedaków) jak Sienkiewicz szlachtę. Inaczej będzie pisarz ostrzegał i odpychał od siebie nawet czytelników, rekrutujących się z chłopów biedniaków — a nawet budził w nich „wściekłość”. Tak ale chyba tylko „niedoświadczonych”, a takim niestety — w ujęciu Bienka — wydaje mi się ob. K. Nie widzi on sensu klasowego sieniawickowskich powieści, znajduje się ciągle pod urokiem takiego ujmowania życia przez literaturę, jakim dla swoich celów klasowych posługiwała się burżuazja.

Dlatego dziwnym mi się wydaje, że Bienek pasuje ob. K. na uświadomionego, uświadomionego i postępowego przywódcę gromady, uważając, że jest dostatecznie „uformowany i gotowy”. A to jest błąd. Dużym czytaniem nie ma się co entuzjasmować, gdy jest robione bez wyboru, gdy nie doprowadza do ostrej świadomości, że przecież niektóre dzieła „naszych klasyków”, niewątpliwie interesujące i udatne artystycznie mogą budzić podziw, ale nigdy „uwielbienie”, bo to już graniczy ze solidaryzowaniem się z ich ideologią. Dzieła te mogą i powinny być dla nas źródłem poznania, jak pisarze np. szlachęcy ujmowali historię czy życie bieżące. Z tego punktu widzenia patrzeć na dzieło i je dyskutować to chyba jedyna droga słuszną, gdy przez literaturę chce się dopracować świadomości klasowej”. Podajemy głos drugiego zetemowskiego wsi pow. radomszczańskiego:

„Nie mogę się polapać z reportażu Bienka, co u licha dzieje się z Kazią, córką sołtysa. Na jakim świecie ona żyje? Przecież Bienek notuje, że w Rudnie Małym jest: Koło PZPR, SL, ZMP, koło wreszcie Z. S. Ch. Czy Kasia nie wie o istnieniu organizacji politycznych i społecznych w swojej wsi, czyż nie wie o tym jej ojciec?”

Bienek pisze: „Córka K. (sołtysa) Kasia wykazuje nieprzeciętną zdolność. Ma lat 16 i przeczytała już 700 tomów rudniańskiej biblioteki. Jedynym jej marzeniem jest nauka. Ale właśnie z tą nauką coś się u Kazi nie widzie! — Wierzę, że Kasia nie wie, że to nie jest nauka, a pragnienia wiedzy i interwencji wi-

zyciowej w Ministerstwie Kultury i Sztuki — Kasia nie może trafić do szkoły. Wierzę w jaki to licha sposób „pięćdziesiąt innych dziewcząt” (licalestki) trafiło do szkoły? Możliwe, że są starannie wyondulowane, nie? A może to właśnie córki bogatszych chłopów? Jeśli biednych — to dlaczego ta o „nieprzeciętnych zdolnościach” i za wszelką cenę pragnąca wiedzy Kasia, córka uświadomionego społecznie sołtysa nie może się dostać do szkoły? Martwi się nieboże o przyszły swój los, martwi się też ojciec, a z tego nic. Nic nawet z „kolatań” w Ministerstwie (dlaczego aż tak wysoko?). Kasia strawi całą rudniańską bibliotekę, zacznie ją znów od początku, wyczyta na pamięć partii dialogowych, będzie je może zamiast pacierza wieczorem odmawiać, ale właściwej nauki nie zdobędzie. I co „uświadomiony” i uświadomiony jej ojciec na to? Będzie może po cichu, po sąsiedku psocił na złe warunki życiowe, czy panujące stosunki. Wierzę, że z sołtysiem, czyż on nie wie o gminnej radzie narodowej, o rodzicielskich komisjach kwalifikacyjnych, wreszcie o Z. S. Ch. Czy Bienek przypadkiem nie mówił w sołtysa, że jest społecznie uświadomiony, wnioskując że musi to wynikać z jego ocytania (sienkiewiczowskiego i fiderowskiego). Coś tu skrzyżuje, kłóci się z sobą, że chciałby się wyrządnąć: „Wróćcie się Bienku, do Rudna Małego i po raz wtóry zbadajcie sprawę!! Dokładnie zbadajcie — dowiedźcie się czy te pięćdziesiąt wspomnianych licealistek, to córki bogatszych chłopów czy biedaków? Jeśli biedaków — to ów sołtys tkwi głową w Fidlerowej „Kanadzie pachnącej żywicą”, a nie we własnej wsi i nie we własnej gminie — jako tylko nalogowy pożeracz dobrych i złych książek. A jeśli bogaczy — znaczyłoby to, że im dalej wieś oddalona od miasta, im bardziej na okrajach, tam szansa życiowa biedniaków jest ostro łomsona, są oni nadal popychadłem u bogaczy, którzy zacierają ręce, gdy dwuhektarowy ob. K. ciągle „uwielbia” Sienkiewicza i ma więcej ciekawości do Arkadego Fidera niż do pałacych spraw własnej gromady”. Trzeci głos będzie bardzo krótki.

Jeden z uczestników przeszłorocznej dyskusji o Godzianowie, toczącej się na łamach „Wiś” zapytuje ob. Bienka za pośrednictwem redakcji, o czym to duma stary Opola, gdy czyta broszurę o „Żywności krow mlecznych” pasąc równocześnie cztery pulchne „fabryczki mleka” — czy przypadkiem nie o zbiciu kapitalizmu. Dalsze głosy podamy w następnym numerze „Wiś”. Mówią one o stosunku rudniańskich czytelników do twórczości Pogana i Mortona, próbując ustalić skąd się właśnie taki stosunek ustalił.

ANDRZEJ SKUPIEN FLOREK

DO ZAPADŁYCH WSI

Na jednym ze wspólnych — że tak powiem — posłuchaniu czytania w gronie moich sąsiadów, którzy często w niedzielne popołudnia schodzą się w moim domu na wspólne „posłuchanie” czy przeczytanie niektórych rzeczy z tygodnika „Wies” — wywiązała się dyskusja, moim zdaniem dosyć poważna.

Najbardziej zainteresowany tematem poruszanej sprawy przez Mariana Piotra Piatka z Janowic, i obszernie omówionym przez Józefa Pogana w artykule „Słuszny Apel” (Wies Nr. 40), był stary gada Jakub. Sam dobrze czyta, a we „Wiś” którą ode mnie pożyczy, zawsze szuka Pogana, którego zna od dawna jeszcze z „Niebieskiego Dekretu” i „Ugorów”. On to właśnie rozpoczął dyskusję, w której między innymi podniósł jak wielkim dobrodziejstwem, dla wiosek oddległych od ośrodków kultury, jest fakt uruchomienia przez Rząd obecnej Polskiej Ludowej, gęstej sieci wiejskich listonoszy, dzięki którym w ciągu tygodnia możemy otrzymywać przynajmniej gazety, które nas łączą ze światem i dają możliwość osiągnięcia jakiejś kultury, skoro z innych nowoczesnych zdobyczy i urządzeń kulturalnych korzystać nie możemy. — Gdyby nie ci listonosze, i niska cena gazet powiedział na końcu — to te najodleglejsze wioski tak jak i my tutaj byłibyśmy pozbawieni najprzyjemniejszej kultury, mimo dążeń do jej upowszechnienia. Zapewne, że nie wszyscy przyznają rację słowom tego gada, a jednak — tak jest! Znam swoją wieś, i wiele innych w powiecie, znam osobliwie, a cały szereg innych z przeczytanej prasy, i trzeba powiedzieć jak bardzo są one różniczkowane. Jedne, dzięki dobrym warunkom terenowym są szczęśliwe: ulice oświetlone (nie mówiąc o domach) radio gra prawie w każdym domu, są domy ludowe i świetlice (nawet po kilka) własne teatry, czy też i kina objazdowe — słowem jest wszystko — technika i mechanika, a ludność aż nawrośko przesycona postępem i wszelką kul-

turą, nie docenia wartości posiadanych skarbów. Inne wioski, nawet niedaleko od tamtych się znajdujące — toną w ciemnościach, bez kultury, upośledzone żyją po dawnemu, wdychając do nowoczesnych udogodnień gospodarczych i kulturalnych, które widzą w tamtych.

I mimo woli nasuwa się pytanie: czy ludzie ci mogą być obojętni, i patrzeć na to wszystko bez cienia zadróżki? Same ręce się wyciągają choćby tylko po lampkę elektrycznego światła, płonącego na ulicy w tamtej wsi, a którego oni jeszcze nie mają w izbie. Ludność tych wiosek nie ma w swym ciężkim życiu żadnego urozmaïcenia poza kościelnym nabożeństwem, obrzędami rodzinnymi wesel, i wyjazdami na jarmarki, do miasta oddlego o 20 do 30 km. Nie ma tu mowy o dotarciu „Czytelników” imprez oświatowych, i zorganizowanych Klubach Literackich. Nie zajechała tu żadne kino, a filmu nikt w swoim życiu jeszcze nie oglądał. Nie zjawiał się tutaj jeszcze ani jeden z lekarskich ambulansów samochodowych by pomóc chorym, nawet żaden działacz oświatowy z jakimkolwiek referatem społecznym tu nie był. Jedynym wykładem i kinem jest gazeta i rzadziej książka, która jest przynoszona przez tego ofiarnego człowieka-listonosza.

Jednakże ludność tych zapadłych wiosek rozumie swoje położenie, i to, że skutkiem górzystego terenu tak szybko nie da się go zmienić na lepsze. Nikogo też za ten stan istniejący nie wini — tym bardziej, że kraj nasz w okropny sposób przez okupanta został zniszczony — i że wszystkiego od razu dobrze urządzić nie można. Jeżeli ja zaś o tym tutaj wspominałem to tylko dlatego, by dzisiaj w przedzie dnia rozpoznać szóstoletniego planu przypomnieć upośledzenie tej ludności i aby dla wyrównania sprawiedliwości społecznej zaplanować coś dla tych zapadłych wiosek, aby pomóc im w osiągnięciach kulturalnych, jakimi cieszy się prawie cała Polska. Tymczasem zaś nam to

zostanie osiągnięte, wraz z ob. Piatkiem, i za Józefem Poganiem wołam i ja, by nasi pisarze-literaci, wzięli sobie za punkt honoru, że każdy odpowiedzie choćby jedną wieś gdzie osobiście mówią swą ożywi drukowane słowa książki czy gazety, które sam napisali. Uważam, że sprawa przejazdu koleją nie powinna nasstrzącać trudności, tym bardziej, jeżeli się Związek Literatów Wiejskich zwróci do Rządu z prośbą o pomoc w uzyskaniu bezpłatnych biletów kolejowych, dla swoich członków na tego rodzaju rozjażdż. — Zaś podwiezienia do stacji kolejowej do wioski, zwłaszcza oddlegiej, dokonają sami chłopcy, którzy chętnie i gratisowo takie podróży dokonają — trzeba tylko uprzedzić w tej sprawie z nami się porozumieć. Próbuje i przejeżdżajcie. Chcemy Was poznać, porozmawiać i posłuchać. Czekamy.

W NUMERZE 43 (222)
TYGODNIKA „WIEŚ”
Z DNIA 23 PAŹDZIERNIKA
1949 ROKU

Droga przyjaźni: Antoni Sowa — Do brata Tarasa Szewczeni — Anna Kamińska — W walce o świadomość kulturalną wsi — Edmund Nizurski — Opowieści o prawdziwych ludziach. Jan Maria Gigses — Miasto młodego zapala. A. P. Prusakow — Współczesny folklor robotników Moskwy. Michał Kraweński — Dzieciństwo. Wiersze robotników Warszawy: Tadeusz Radwański — Piosenka Oracza — Traktoryści. Włodzimierz Domeradzki — Pieśń o Warszawie. Pozdrowienie. Miasto moje Józef Bienek — W okręgu „Chrześcijaństwa”. Bogusław Chojński — „Tatarzy w Sandomierzu”. Zofia Wiguro — Przeciwno kosmopolityzmowi w badaniach literackich. Maciej Koliba — O wiedzę marksistowsko-leninowską. Edward Martuszeński — Film w walce o pokój. Józef Pogan — Próby biednych i bogatych. Lech Budrecki — Książka w rękach czytelników. Stanisław Cieślak — Chłopski czyn kongresowy; Fakty i zdania; 16 ilustracji; 8 stron.

Zaostrzyć czujność klasową!

Ob. Redaktorze!

„Na zebraniu w gromadzie Sucha (woj. krakowskie) stwierdzono, że kierownik masarni i jednocześnie referentem skupu żywności jest 2 1/2 hektarowy chłop, który jednak zatrudnia służącą, służącego i pastucha oraz prowadzi różne uboczne kombinacje na szkodę spółdzielni...”

„W gromadzie Róża (gm. Józwin, woj. Rzeszów) kułacy i speculanci więcej toczyli wprost walkę o wejście do Komitetu Członkowskiego...”

„Podobnie było w gromadzie Czekanów (pow. Gliwice) gdzie wysunęto do Komitetu Członkowskiego bogacza wiejskiego...”

W woj. łódzkiej prezesem jednego z kół gromadzkich Z.S. Ch. był właściciel 2-hektarowego gospodarstwa, który jednak oprócz tej ziemi „posiadał dobrze prosperujący sklep z wyszynkiem...”

Fakty powyższe zebrałem z jednego tylko artykułu w „Chłopskiej Drodze” (Nr 42 — 204). A jest ich przecież więcej! Wystarczy zapoznać się z listami chłopów zamieszczanymi przez pisma ludowe.

W każdym numerze „Chłopskiej Drogi”, „Zielonego Sztandaru”, „Dziennika Ludowego” i innych pismach chłopcy wykazują w korespondencji terenowej fakty nadużyć, popełnianych przez wiejskich bogaczy. Znacząco, że walka klasowa na wsi zaostrza się, że wróg klasowy broni swoich pozycji.

Jest właśnie okres wyborów do Komitetów Członkowskich w spółdzielniach wiejskich. Poszczególne organizacje partyjne, P. Z. P. R., S. L., P. S. L., oraz Z. M. P. winni zwrócić baczną uwagę na rozgry-

Następny powiększony numer „Wiś”

poświęcony rocznicy
REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ

przyniesie publikacje:

STANISŁAWA ARNOLDA
MARIANA MUSZKATA
KAZIMIERZA PIWASKIEGO
KONSTANTEGO FIEDINA
MIKOŁAJA GRIBACZEWA
PABLO NERUDY
JULIUSZA FUCIKA
JANA ALEKSANDRA KRÓLA
EDMUNDA NIZIURSKIEGO
LEONARDA SOBIERAJSKIEGO
WIESŁAWA JAŻDZYŃSKIEGO
TADEUSZA ORLEWICZA
JANA M. GISGESA
JAKUBA LITWINA
JÓZEFA KELERY
ANDRZEJA BRAUNA
EDWARDA MARTUSZEWSKIEGO

wające się obecnie wybory. Nie wystarczy pilnować samych wyborów, należy ustawicznie zwracać uwagę na poczynania wrogów i unicestwiać je. Należy uświadamiać masy chłopskie, w jakiej postaci występuje wróg klasowy. Urządzać pogadanki, odczyty, dyskusje.

Powyższe przykłady świadczą o tym, że linia podziału klasowego na wsi nie pokrywa się automatycznie z ilością posiadanych hektarów. Wrogiem klasowym jest ten, kto wyzyskuje. Należy ocenić postawę społeczną ludzi; należy podcinać korzenie kapitalizmu na wsi.

Organizacje partyjne — do walce! Terenowicz

Życiowe rady
imperialistycznych
„mędrców”

W 1948 roku wyszła w Stanach Zjednoczonych książka niejakiego D. Carnegiego pod charakterystycznym tytułem: „W jaki sposób można się przestać niepokoić i zacząć żyć”. „Dzieło” wzbudziło entuzjazm prasy burżuazyjnej nie tylko w Ameryce ale i w Europie Zachodniej. „Światła” zaiste książka — stanowi cudowny środek zaradczy przeciw wszelkim bólowom fizycznym, psychicznym i społecznym. Oto niektóre tytuły jej rozdziałów: „Zasadnicze metody techniczne analizy niepokojów”, „Siedem sposobów utrzymania pozycji intelektualnej, która zabezpieczy cię wewnętrzną spokój i szczęście” (sic!), „Jak znaleźć pracę, która przyniesie ci więcej szczęścia i korzyści”, „W jaki sposób sprowadzić do minimum wasze nieporządki finansowe” itd. itd. Wielomówne, ambitne tytuły. Czy nieprawda? No, a w jaki na przykład sposób dojść można do wewnętrznego spokoju i szczęścia. Carnegie cytuje najprzód napis umieszczony na jednej ze starych katedr amerykańskich: „Tak jest. I inaczej być nie może”. I dodaje mądrze do siebie. „Możemy się z nimi, tzn. z trudnymi warunkami i cierpieniami” pogodzić, jako z czymś nieuniknionym, albo zabijając się przeciw nim, można zgubić siebie i doprowadzić do nerwowych przypadłości”. Czy nie mądre powiedzenie? Niechaj robotnik nie urządza strajków, nie walcz o poprawę swego bytu — gdyż może spaść w „nerwowe przypadłości”. Niechaj Murzyn w spokoju znosi łyce, morderstwa, imperializm, który spycha ich na dno — bo w przeciwnym razie grozi im „nerwowe przypadłości”. Niechaj kraje mar-



shallowskie w spokoju ducha znoszą wyszysk i niewolę amerykańską — bo w przeciwnym razie... itd. — jak poprzednio.

Na pocieszenie „mędrzec” Carnegie radzi cierpiącym stosować się do takiej zasady. „Byłem w ponurym nastroju, gdyż nie miałem o buwka, dopóki nie spotkałem człowieka, który nie miał nóg”. Dociępnym jest młody Carnegie!

„Ale to jeszcze nie wszystko. W końcu amerykański „uzdrawiacz ludzi” radzi cierpiącym, by za wzór sobie wzięli krowy bo „one nigdy nie cierpią na przypadłość nerwowe i nigdy nie tracą głowy”.

Carnegie zapewne pierwszy zastosował się do tej recepty.

Podróż i jej skutki

Ostatnio premier Indii, Pandit Nehru — jak wiadomo — pojechał z dyplomatyczną wizytą do Wa-

Przypomnieć należy, że jednym z najbliższych ideowych współpracowników p. Szczep. Jeleńskiego był w owym czasie osławiony kolaborant Skiński.

Z obozu, który pali książkę, protestuje i... ekskomunikuje.

Ob. Redaktorze!

Będąc bibliotekarzem w swojej miejscowości, cieszę się, gdy patrzę jak rośnie nasza biblioteka ilościowo, jak wzbogaca się stale w cenną treść naukową, bez różnicy czy przybywa książka popularnonaukowa, powieści czy opowiadanie. Muszę jednak z przykrością zaznaczyć, że ciągle brak nam literatury o nas samych, o dzisiejszej wsi i jej problematyce.

Nasi dzisiejsi pisarze uwieźli się i upornie piszą o tym, co było wczoraj. Dobry Pogan, dobry Gałaj, dobra Wasilewska i dobry Marton ze swoim „Inkluzowym Wianem”, do brzych jest wielu innych. Dlatego dobrych, że pokazują wczorajsze życie wsi w niewoli „jaśniepańskiej” i ciemności kręgu plebejny, wczorajsze krzywdy i tęsknotę ludu do ziemi i wolności. To jest słusze. Chcąc „dziś” lepiej żyć, trzeba znać „wczoraj”. Ale do budowania socjalistycznego życia, samego materiału z wczoraj nam nie starczy. Potrzeba i materiału z dnia dzisiejszego, a materiał taki jest, jest go na wsi bardzo wiele.

Niech tylko Pogan, Kruczkowski, Gałaj, Marton i inni sięgną, a znajdą go nawet nie do jednej a do wielu powieści i opowiadań.

Książki o robotnikach budownictwa Polski Ludowej i Socjalistycznej ukazują się, na książkę z wsi w przebudowie ciągle czekamy.

Poruszyć Ob. Redaktorze tę sprawę w Waszym piśmie, poruszając ją stale!

Apelujcie do naszych literatów, że czekamy na powieść o współczesnej wsi!!!

Seweryn Skulski

Partner bez armii

Jeden z 12 sygnatariuszy Paktu Atlantyckiego ma obecnie nielada kłopoty. Rzecz w tym, że w Waszyngtonie rozpoczęły się rozmowy ministrów obrony narodowej i szefów sztabów wszystkich sygnatariuszy. Jednakże Islandia jest w poważnym kłopotcie, gdyż od najazdu Norwegów w roku 1264 nie prowadziła żadnej wojny, zaś jej jedynym czynem wojennym w toku II wojny światowej było wystawienie małego korpusu policyjnego dla ochrony przystojnych Islandek przed zabójczymi zakusami nudażących się śmiercielnymi i szefów i amerykańskich wojsk, stacjonowanych na wyspie. W tym stanie rzeczy, dzielna Islandia nie miała nie tylko ministra wojny czy szefa sztabu, ale nawet zwykłego żołnierza, któregoby mogła posłać do Waszyngtonu. Wyrozumieli pozostali sygnatariusze pozwolili jej na wysłanie „szarego cywila”, który mówił będzie o wielkim wkładzie małej wyspy w machinę Paku Atlantyckiego.

W Kompur ilość bezrobotnych podniosła się z 2.000 do 5.000. W okolicach Kompuru zamknięto hutę szklane i 30.000 robotników pozostało bez pracy. W Agrze zamknięto zostały duże fabryki i ponad 1.000 robotników zostało wyrzuconych na bruk.

Znamienne są przejawy amerykańsko-indyjskiej „przyjaźni”.

Kruk krukowi

oka nie wykoło

Pamiętacie inkwizycję kulturalną XX wieku: stopy książek postępowych pisarzy palonych na ulicach miast niemieckich z rozkazem „Fuhrera”? Okazuje się, że i u nas zdarzali się zwolennicy takiej metody „upowszechnienia kultury”. W tygodniku londyńskim „Życie” (organ katolickich pilsudczyków) pani Z. Kossak — Szczuka, autorka wielce ceniona przez „Tygodnik Powszechny”, we wspomnianym pośmiertnym o Szczep. Jeleńskim, dyrektorze księgarń św. Wojciecha w Poznaniu, m. in. pisze:

„Do pisarzy wydawnictwa należał Emil Zegadłowicz. Gdy historyk pisarz przeszedł z trzaskiem do przeciwnego obozu, wydając osławione „Zmory”, Szczep. Jeleński spalił wszystkie posiadane na składzie wydawnictwa dzieł Zegadłowicza, nie dbając o stratę materialną”.

Prawda, jakie to godne uwiecznienia?

„Dzień żałoby”
neonazistów

Jak wiadomo, układy poczdamskie postawiły za jeden z powojennych celów polityki państw zwycięskich denazyfikację, demilitaryzację i demokratyzację Niemiec. Jak dalece postanowienia te niepokoiły i niepokoją neonazistów i militerystów niemieckich i... amerykańskich, świadczy fakt złożenia przez przewodniczącego t.zw. „Partii Odbudowy Gospodarczej” (faszystowskiego stronnictwa „parlamentu” w Bonn), Herr Loritza wniosku o ogłoszenie dnia zawarcia układów poczdamskich — dniem „żałoby narodowej”.

Czy wniosek ten nie zbiega się „przypadkowo” z życzeniami angielskich mowodawców „trizonii”? Na pewno tak.

W takim razie, dziwić się nie należy.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ul. Starynkiewicza Nr 7. Tel. Red. Nacz. 812-71. Tel. Redakcji 8-00-61 do 6, wewnętrzny 23 i 76. WYD.: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ. REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA. Ogłoszenia przyjmuje Administracja — WARSZAWA, Starynkiewicza 7.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I—6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik”, Marszałkowska 3/5. B-89830